Nr. 32 (1076). Warszawa, dnia 28 Lipca (10 Sierpnia) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60. rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Dymisya ministra.

W końcu lipca wybuchło we włoskim gabinecie Zanardellego przesilenie. Minister finansów, Wollenborg, podał się do dymisyi. D. 2 sierpnia król tę dymisyę przyjął, ale nowego ministra jeszcze nie zamianował. „Minister finansów“ we Włoszech to coś mniejszego, niż minister finansów czy skarbu gdzieindziej. Włochy już po zorganizowaniu z grubsza swego państwa, rozdzieliły swoje gospodarstwo skarbowe na dwa wydziały: właściwy zarząd i obmyśliwanie środków, kasy i podatki, rozchody i dochody. Minister skarbu jest szafarzem środków dostarczanych mu budżetowo przez ministra finansów; do pierwszego należy administracya, do drugiego polityka skarbowa; pierwszy patrzy tylko w to, co ma, drugi w to, co mieć powinien, aby państwo nie stękało. Podatek i budżet są jego rzeczą; działa on tu rzeczywiście w porozumieniu z kolegą, ale własnem swojem wyłącznem prawem i pod własną też odpowiedzialnością. Jest on więc siłą główną, twórczą, kierującą, a we Włoszech o wiele więcej znaczącą w całości rządu, niż w innych krajach. Sprawa skarbowości we Włoszech nie przestała być dotychczas i nieprędko być przestanie, procesem niezmiernie zawiłym i trudnym. Wytwórczość ekonomiczna społeczeństwa włoskiego zaledwie wystarcza na porządne zaspokojenie potrzeb bytu prowincyonalnego i municypalnego, a państwo na tem społeczeństwie zbudowane ma potrzeby, apetyty, żądze i pazury wielkiego mocarstwa. Musiałby być niezwykle przez bogów umiłowanym ten minister finansów we Włoszech, któryby długo tę torturę wyciągania stawów to w jedną, to w drugą stronę wytrzymał. Padają też skarboznawcy włoscy jak jętki, a wraz z nimi nieraz i same gabinety. Geniusze pędzą tam żywot krótki — aż do pierwszych rozpraw budżetowych w Izbie.

Wollenborg i tej nawet chwili, dość skromnej, nie doczekał: rozbił się o kolegów. Najpierw chciał wieczną dziurę w budżecie załatać oszczędnościami i dodatkami — i to byłoby mu zapewniło byt dalszy w gabinecie. Ale pewna sumienność umysłowa, wstyd przed własnym rozumem kazały mu do myśli pierwotnej, do samego siebie powrócić: zaproponował więc wyrzeczenie się przez państwo dopłat procentowych do podatków konsumcyjnych, pobieranych po miastach mniejszych, zupełnie liebych i biednych, a natomiast podwyższenie opłaty od spadków. Było to dwustronnie i rozsądne i sprawiedliwe. Zanardelli osobiście nie był takiej zmianie przeciwny, ale myśląc o utrzymaniu się, co przy rozburzeniu gabinetu byłoby trudnem, nie poparł należycie ministra, a wtedy przeciwnicy i rozsądku i sprawiedliwości powalili go zapewne pobudkami, czerpanemi w obu tych zdrojach: sofistyka lepiej od logiki m ocować się umie.

Mniejsza o ministra, który nie dał jeszcze wartości swej poznać; ale nieobojętną jest dla Włocha przegrana samego projektu. Jest to fakt symptomatyczny. Cały ten plan w mowie niedawnej Zanardellego i w samym programacie wstępnym zarysowany: nowego systematu podatkowego, zaczyna już okazywać się kołdrą dla nędzarzy, zszywaną z różnobarwnych frazesów. Powalenie ministra było powaleniem zasady, nakazującej ciężary z ludzi przenosić na rzeczy, z osób na czynności, z pracy na majątki, z jestestw ekonomicznych żywych na martwe, z ludu na stojących po nad ludem. Włochy są klasyczną krainą podatków spożywczych, które bezpośrednio, nie tak jak akcyza, dotykają przedmiotów do życia i dziecku i kobiecie i starcowi niezbędnych—i brzemieniem swojem przygniatają lud. Włochy są jedynem państwem w świecie cywilizowanym, które dopiero przed 10 laty zniosło u siebie haniebny podatek od mlewa; ale mają jeszcze cła (7.50 fr.) na zboże, mają opłaty konsumcyjne po ubogich nawet gminach (*octroi*), mają też i monopol solny, przynoszący 75 milionów lirów.

Każdy niotylko dobry finansista, ale i dobry Włoch, dążyć powinien, jeśli się znajdzie na urzędzie, do wymiecenia z forum państwowego tych paskudnych pozostałości, stylu jeszcze municypalnego, jakiemi są podatki spożywcze na przedmioty pierwszej potrzeby, do gmin miejskich wprowadzane ze wsi. Jeśli monopol soli cięży przedewszystkiem na tych, którzy najmniej na ciężar ten są wytrzymali, a najwięcej na ponoszenie go wystawieni, podatek spożywczy jest wprost odejmowaniem chleba od ust. W gminach bogatszych, gdzie pieniędzy więcej, zarobek łatwiejszy i większy, lud z temi opłatami jeszcze jako tako uporać się może, ale w uboższych uważa je za pełzającego po ulicach potwora. Rogatka miejska jest znienawidzoną bastylią, krzywda woła do niebios. A nie są to opłaty małe, skoro państwo z samych dodatków procentowych wyciąga corocznie piędziesiąt kilka milionów; dwadzieścia chciał ludowi biednemu zostawić Wollenborg w wiecznie dziurawych, wiecznie też pustych kieszeniach. Koledzy, którzy go powalili, nie byli znowu tak zawzięci, aby w utrzymaniu opłaty widzieć chcieli ostoję społecznego porządku: dostrzegli ją gdzieindziej, w nietykalności spadków. Opłaty spadkowe we Włoszech, mających jeszcze dużo arystokracyi, dużo

wzbogaconego kupiectwa, majątku osobistego, uchylającego się od służby społecznej, mogłyby być obfitem źródłem dochodów, gdyby miano odwagę dotknąć się spadków ręką żylastą, niepowstrzymywaną względami sobkostwa, nurtującego klasy wyższe i zamożniejsze. W budżecie dzisiejszym wpływy z tego źródła nie dają nawet czterdziestu milionów. Wollenborg, przenosząc tylko część owych 20 milionów, zdjętych z ludu w gminach najuboższych na spadki, nie dopuszczał się ani niebezpiecznej socyologii, ani też rujnującego przewrotu: dokonywał reformy niezmiernie skromnej, potulnej. Ale kolegom jego w gabinecie wydała się ona już czemś dla porządku społecznego groźnem. Niechże sobie bronią porządku sposobem najodpowiedniejszym do szerzenia anarchii. Zaślepienie nie może trwać długo; musi przyjść człowiek i przyjdą ludzie ze szczerym programem demokratycznym. Sama monarchia włoska we własnym swym interesie nie omieszka ich wydobyć i powołać. Przyszłość jej i przyszłość Włoch, nie od przymierza z Niemcami, ale od przymierza z demokracyą zależy.

Z NAD WARTY I ODRY.

Przystępując do stałego informowania czytelników *Prawdy* o sprawach Poznańskiego i Śląska, zaraz w pierwszym swym liście muszę prosić o pobłażliwość za przekroczenie granic, zakreślonych tytułem moich korespondencyj. Ale nie moja to wina, że faktem, najbardziej interesującym w obecnej chwili społeczeństwo polskie nad Odrą i Wartą, jest walka wyborcza, tocząca się hen na przeciwległym krańcu Niemiec — w Nadrenii. Walka o mandat z okręgu Duisburg-Muhlheim-Ruhrort posiada nietylko znaczenie miejscowe, lecz i niezwykle doniosłą wagę jako poważny objaw, świadczący o ogromnie charakterystycznej ewolucyi przekonaniowej, odbywającej się w umysłach polskich warstw ludowych. Fakt wystawienia samoistnej polskiej kandydatury w jednym z rdzennie niemieckich okręgów, w którym polska ludność napływowa zawsze dotychczas głosowała na kandydata katolickiego centrum, musi zastanowić chociażby tylko swoją niezwykłością.

Nikomu nawet na myśl nie przyszło spodziewać się wyboru kandydata polskiego, który też otrzymał zaledwie 2,600 głosów, co stanowi bardzo drobną pozycyę wobec sześćdziesięciu paru tysięcy głosów, które padły na wszystkich pięciu kandydatów razem. Kandydatura p. Czarlińskiego ma zupełnie inne znaczenie. Stanowi ona pierwszy wyłom w potężnej władzy centrum nad masami ludu polskiego i niebezpieczny dla centrum precedens na przyszłość.

Organy partyi centrum nie posiadają się z oburzenia na „niewdzięczność" Polaków. *Germania* wypowiada to oburzenie w formie ostrej, *Kölnische Volkszeitung* w bardziej dyplomatycznej, ale widać ze wszystkiego, że wrażenie wyboru w Nadrenii jest wielkie. Centrowcy rozumieją bardzo dobrze, że świadomość narodowa ludu polskiego rozsadziła już ramki solidarności wyznaniowej i że kandydatura p. Czarlińskiego to pierwsza jaskółka, zwiastująca nową formę walki emancypacyjnej ludu polskiego — w pierwszej linii na Górnym Śląsku, stanowiącym dotychczas bardzo tanio nabyty „Besitzstand" partyi katolików niemieckich.

Ludność górnośląska burzy się już od dziesięciu lat przeciwko centrum, ale ruch ten był dotychczas sztucznie powstrzymywany i zwracany na tory dla centrum zupełnie nieszkodliwe, przez polskich przywódców, skupiających się dokoła *Katolika* bytomskiego. Pożyteczny za czasów „Kulturkampfu," kiedy istotnie był przedstawicielem szczerej opozycyi, *Katolik* zczasem pozostawał coraz bardziej w tyle za żywiołowym rozwojem ruchu polskiego na Górnym Śląsku i obecnie, jako narzędzie, hamujące i wykoszlawiające ruch ten, stał się wprost szkodliwym.

Już sam wygląd zewnętrzny tego pisemka, rozchodzącego się w dwudziestu kilku tysiącach egzemplarzy, przekonywa nas jasno o jego celach i zadaniach. Tytuł najzupełniej odpowiada treści. Na wstępie, po kalendarzu tygodniowym, widzimy wezwanie: „Módlmy się za papieża Leona XIII-go," poczem idą „Sprawy kościoła," jako rzecz dla Górnoślązaków najważniejsza. Dopiero potem znajdujemy różne wiadomości, powybierane, naturalnie, w duchu klerykalizmu i lojalności pruskiej. *Katolik* występuje w obronie „wiary i języka" i wszelkiemi siłami stara się o wszczepienie w umysły swych czytelników poczucia wspólności interesów narodowych z interesami kościoła, a walki o prawa ludności polskiej z bezwzględnem popieraniem centrum.

Pomimo to jednak lud górnośląski wyłamywał się z pod nakazu posłuszeństwa dla partyi centrowej i żywiołowo, niepopierany przez przywódców od *Katolika*, wybierał posłów Polaków: Szmulę w roku 1893, Strzodę w 1894 i Radwańskiego w 1895. Ale cóż z tego? — posłowie ci znowu wstępowali do klubu centrum w parlamencie i wszystko zostawało po dawnemu. Lecz przy ostatnich wyborach do parlamentu, kiedy cały lud górnośląski z niecierpliwością czekał hasła: „wybierać własnych posłów," *Katolik* milczał jak zaklęty i 26,000 Górnoślązaków, nie chcąc głosować na centrowców — oddało swe głosy kandydatom socyalistycznym, którzy nawet nie zdążyli byli przeprowadzić energicznej agitacyi.

Dziś położenie na Śląsku znacznie się zmieniło i przy następnych wyborach lud nie będzie wyczekiwał hasła ze strony *Katolika*, bo hasło to padnie z innej strony.

Katolik bytomski, a z nim całe centrum w jego polskiej i niemieckiej odmianie, wzięte jest w dwa ognie. Przeniesiona od paru tygodni z Berlina do Katowic *Gazeta robotnicza*, szybko utrwala swój wpływ w górnośląskim okręgu przemysłowym i demaskuje systematycznie dwulicową politykę *Katolika*. Wśród młodego pokolenia inteligencyi górnośląskiej wytworzyła się w ostatnich czasach grupka działaczy, pragnących skierować ruch narodowy na Górnym Śląsku, w Westfalii i Nadrenii, jako też w Berlinie, na tory zupełnie samoistne i wręcz wrogie dla centrowców.

Ogniskiem tej agitacyi jest *Dziennik berliński*, redagowany bardzo śmiało, nie bez młodzieńczej krewkości, w duchu nieprzejednanym. Z artykułów tego pisemka widać, że ich autorowie są jeszcze bardzo młodzi, a można się w każdym niemal numerze *Dziennika berlińskiego* doszukać zdań sprzecznych ze sobą, ale niepodobna jego redakcyi odmawiać dobrych chęci i znacznej ruchliwości.

---

6)

Napoleon Rouba.

CHYBIONE SWATY.

III.

Dobrze było Antkowi we dworze.

Wprawdzie w pierwszej chwili dziwnie mu było trochę, ile razy ogrodnik wysyłał go, aby szedł za panienką.

Więc szedł nieśmiały, a ciekawość go brała, co tam robić każą, skoro nie dano mu brać ni konewki, ni rydla, ani też motyki lub taczki.

Angielka siadała na ławce z książką w ręku, a panienka obok i wnet rozpoczynała z nim gawędę o tem i owem, wzywając go, aby usiadł przy niej na ławce.

A słonko świeciło jasno, chłopiec był syty, więc wstyd go brał niemały, gdy tak siedział bezczynnie, przebierając nogami, albo też bawiąc się własnym paskiem.

Panienka zawsze coś miała w koszyczku, a było to coś słodkiego i przedziwnego w smaku.

Więc jedli oboje, a chłopiec ośmielał się coraz bardziej, ile że chciał pokazać panience, że i on coś umie, skoro mu kazała patrzeć, jak sama pięknie skacze przez sznur lub chwyta piłkę gumową.

— Złapię trochę raków, albo i miętusa— rzekł raz poważnie przed wieczorem.

Panienka mu wtedy cichutko szepnęła, aby szedł w koniec ogrodu i tam wszystko przygotował, a ona tam przyjdzie za chwilę.

Skoczył jeno do ogrodnika po dwie małe siatki na kijach i pobiegł na miejsce wskazane. Ogród sięgał brzegu Narwi, a raczej obszernej łachy rzecznej, obficie zarośniętej w połowie tatarakiem i trzciną, a w drugiej — czystej i głębokiej, o dość stromym brzegu gliniastym.

Kozikiem uciął kilka długich prętów laskowych i z tymi jął polować na żaby, płosząc je z nadbrzeżnych traw i kęp błotnistych.

Gdy przyszła panienka, miał ich już ze sześć w kapeluszu słomianym. Ona się dziwiła i bała tknąć ręką kapelusza; on zaś brał żaby kolejno w rękę i szybko a zręcznie obdarł pierwszą ze skóry przy pomocy kozika.

— Antek, jakiś ty paskudny!—zgromiła go Iza.

Chłopiec jednak na to nie zważał i przymocowawszy obdartą żabę łyczkiem do pręta, obdzierał ze skóry następne.

— Czy ty myślisz, że ich nie boli?— pytała znowu, przystępując bliżej.

— Co ich tam ma boleć!

Chłopiec nie słyszał żadnego głosu męczonych żab, a nikt mu nigdy nie mówił, ażeby żaby miało boleć takie obdzieranie ze skóry, lub choćby, że żab nie należy zabijać, jako stworzeń pożytecznych dla rolnika i ogrodnika.

Iza zmrużyła oczy, zatkała uszy i stanęła na uboczu.

— Już gotowe, panienko!— rzekł wreszcie Antek, wskazując sześć kijków, opatrzonych przynętą na raki.

Poszli nad urwisty brzeg i, stojąc na występach zbocza, zanurzyli wszystkie pręty w wodzie.

Długo czekali w milczeniu, trzymając na pogotowiu każde swoją siatkę. Już słońce miało się ku zachodowi.

Antek zaczął powoli wyciągać pręty jeden za drugim. Iza wtedy klasnęła w dłonie, widząc jak zręcznie chwyta siatką raki, uczepione u przynęty.

— Cicho, panienko, nie trzeba ich płoszyć.

Przy jednej żabie znaleźli aż pięć raków, przy ostatniej znowu trzy. W ciągu godziny schwytali ze czterdzieści, a Iza bawiła się ich widokiem i próbowała ostrożnie brać je w ręce z góry za grzbiet.

Ale silniejsze raki trzepnąwszy się nagle

Niezbyt dawno *Dzien. berl.* rozpowszechnił na Śląsku dobrze napisaną broszurkę „Precz z centrum!“, w której bardzo popularnie tłomaczył ludowi sprzeczność jego interesów narodowych z dążnościami centrowców. *Katolika* w *Dzien. berl.* spotykają bardzo często zasłużone cięgi.

W ten sposób *Katolik*, wzięty w dwa ognie, nie chcąc stracić wpływu, musi nadrabiać miną i zamieszczać dość ostre wycieczki przeciwko germanizacyi rządowej i, co dla niego jest najdrażliwsze, germanizacyi przez kościół katolicki. W ten sposób naraża się coraz bardziej Niemcom z centrum, którzy nawet w mdłych i bezbarwnych skargach jego widzą karygodną „agitacyę wielkopolską.“

Centrowcy w żaden sposób nie mogą się pogodzić z myślą, że minęły te czasy, kiedy polska ludność górnośląska, nie pytając o nic, szła ławą pod wodzą proboszczów do urny wyborczej, nie stawiała swemu posłowi żadnych żądań i nawet nie bardzo się oburzała, jeśli wielmożny poseł, w rodzaju hr. Ballestrema, radził Polaków „bić po pysku.“ W tych dniach jeden z owych panów zjawił się w Gliwicach, na zebraniu robotników katolickich. Był to poseł dr. Heising, który niegdyś wywołał powszechne oburzenie swojem odezwaniem się w sejmie pruskim o „górnośląskich Prusakach.“ Przybył, ażeby wyjaśnić stanowisko swoje i całej partyi centrowej do ruchu polskiego na Górnym Śląsku, ale pokazało się, że bardzo mało kto z zebranych mógł zrozumieć te wyjaśnienia, albowiem „poseł ludu polskiego“ nie umie po polsku. Może też dlatego nie wywołał zbyt energicznych protestów, kiedy twierdził, że Górnoślązacy nie są niczem innem, jak Prusakami, że powinni być gorącymi patryotami pruskimi i że centrum musi zwalczać agitacyę, niezgodną z duchem patryotyzmu pruskiego.

Nie sami centrowcy uczą Górnoślązaków patryotyzmu pruskiego. Oto w Górnych Hajdukach odbył się wielki festyn turnerów niemieckich. Kiedy liczny pochód stanął przed pomnikiem Bismarcka, na estradę wystąpił niejaki Marks, który, nawołując „wszystkich synów tej ziemi“ do miłości wielkiej ojczyzny niemieckiej, oświadczył, że „upragniony spokój nie wcześniej zawita do Niemiec, aż polonizm będzie ostatecznie wytępiony.“

Takie lekcye, zwłaszcza jeśli są powtarzane codziennie, robią swoje daleko skuteczniej od celowej agitacyi, prowadzonej przez prasę polską. Niewątpliwie wzrost świadomości polskich mas ludowych w znacznym stopniu możemy zawdzięczać hakatyzmowi.

Wkrótce ma otrzymać taką lekcyę patryotyzmu pruskiego w Toruniu kilkudziesięciu gimnazyalistów, kleryków oraz paru studentów i wolontaryuszów bankowych. Wytoczono im mianowicie proces o należenie do „tajnych stowarzyszeń,“ mających na celu ni mniej ni więcej jak zniszczenie potęgi mocarstwowej Niemiec. Kółka gimnazyalne, zajmujące się samokształceniem, uczące się gramatyki, literatury i historyi, są, jak się pokazuje, niezmiernie niebezpieczne dla całości Niemiec. Wnosić więc można, że Prusacy obok Boga boją się jeszcze gimnazyalistów polskich. Zresztą czego się oni nie boją na swych wschodnich kresach! A strach ich posiada istotnie wielkie oczy.

Oto niedawno z powodu jednej z nader częstych rewizyj w redakcyi poznańskiej *Pracy*, odznaczającej się bezwzględnością w stosunku do zakazów germanizacyjnych, po pismach hakatystycznych zaczęła szerzyć się pogłoska, że autorem najbardziej ostrych artykułów *Pracy* jest nie kto inny, jak austryacki minister spraw zagranicznych — hr Gołuchowski. Co prawda, pogłoska ta zrodziła się w głowie jednego z pomysłowych dziennikarzy hakatystycznych podczas wielkich upałów i to w czasie posuchy na sensacyjne wiadomości, ale przyjęto ją w prasie niemieckiej z wielkiem zadowolnieniem. Ugruntowano ją na następujących podstawach. Redakcya *Pracy*, zwykle nie wymieniająca autora ściganych przez władze artykułów, przyznała się otwarcie, że artykuły i wzmianki, tak oburzające patryotów pruskich, wyszły z pod pióra byłego redaktora *Pracy*, dr. Kazimierza Rakowskiego, który, unikając zbyt natarczywych pretensyj policyi pruskiej do jego osoby, zbiegł w swoim czasie do Austryi i osiadł we Lwowie. Stamtąd nadsyłał właśnie owe artykuły, psujące sen i apetyt hakatystom. Lwów znajduje się w Austryi, a hr. Gołuchowski jest ministrem austryackim—*ergo* nie kto inny, tylko on pisuje owe artykuły, przesyłając je przez dr. Rakowskiego. Taką jest logika hakatystów. Ażeby zaś wyjaśnić pobudki, jakie kierowały dr. Rakowskim, kiedy postanowił stać się powolnem narzędziem machiawelistycznych intryg hr. Gołuchowskiego, obdarzono go posadą „sekretarza Wydziału Krajowego.“ Dr. Rakowski byłby zapewne hakatystom bardzo wdzięczny za tę nominacyę, gdyby się urzeczywistniła, bo obecnie zajmuje bardzo podrzędne stanowisko w tej instytucyi samorządu galicyjskiego.

Ma się rozumieć, że nawet niemiecka poważna prasa wykpiła ten najnowszy pomysł hakatystów. To jednak nie przeszkodzi im przy najbliższej sposobności znowu puścić jakąś kaczkę, podobną do powyższej. Przecież trzeba trzymać wyobraźnię Michla niemieckiego w stałem naprężeniu, bo inaczej gotów zapomnieć o tem strasznem niebezpieczeństwie, jakie mu zagraża na Wschodzie.

Pośrednik.

Tydzień polityczny. Na półwyspie Bałkańskim ciągle wrzenie. Grecy, Bulgarowie i Serbowie współzawodniczą w ruchu, wywoływanym niejednokrotnie przez samych Turków, zwłaszcza władze tureckie, i Albańczyków. W Starej Serbii położenie dość niebezpieczne. Fanatyzm muzułmański łączy się tu z nienawiścią turecką na urzędzie, aby za istotne czy też urojone, w każdym razie drobne, zmowy i spiski serbskie brać surowy odwet, gwałcący sprawiedliwość, nawet ze stanowiska praw, jakie nadawać może panowanie. Na tle ogólnego stosunku poddanych do rządu, który dla nich najezdniczym być nie przestał, rozwijają przeciwieństwa i zawiści pomiędzy samemi narodowościami w obszernej prowincyi Macedońskiej porozsiewanemi tak, że sąsiedztwo prowadzi odrazu do stanu wrogiego naprężenia. Porta ze złej woli i z niedołęztwa nie poskramia działań wyzywających lub krzywdzących, których dopuszczają się jej rdzenni obywatele. Złe, utrwalając się, rośnie; hypoteza spisków tajemnych i wyszukiwania ich pod powierzchnią społeczną do dawnych gwałtów dodają nowe. Nawet urzędową pocztę serbską poważa się już Turcya zatrzymywać, jak zatrzymała na początku r. b. pocztę europejską również z pobudek indagacyjno-politycznych. W takiem położeniu p. Zinowjew miał w ubiegłym tygodniu drugie już z rzędu posłuchanie u sułtana, mianowicie ujmował się za Starą Serbią. Sułtan przyrzekł poprawę. Serbowie z królestwa oddali się pod opiekę Austryi i powierzyli sprawę swoją bar. Calice, ambasadorowi w Konstantynopolu. Porta sama największy ma interes w uspokojeniu półwyspu.

---

spadały na ziemię, i dziewczynka z krzykiem przestrachu odskakiwała na bok. Antek śmiał się z tego, bo on je brał jak wypadły, i czasem tylko zaklął gniewnie, gdy mu się który uczepił kleszczami u palców.

— Antek, nie boli?—pytała Iza.

— Szczypie tam trochę — odpowiedział na prędce.

Oboje nie rozumieli, jak wielka była różnica między grubą skórą dłoni Antkowych i delikatnemi rączkami dziewczęcia, w rękawiczkach nawet na spacerze i przy zabawie.

Więc też śmiał się chłopiec nawet i wtedy, kiedy Iza krzyknęła z bólu i przysiadła nagle na ziemi z rakiem zawiśniętym przy palcu. Śmiał się, lecz przyskoczył i usunął napastnika.

— O, krew! — zdziwił się dostrzegłszy purpurową plamkę na palcu.

— Boli!—skarżyła się Iza ze łzami.

Na to przyszedł ogrodnik i jął gromić Antka.

Ja ci tu dam, wisusie jeden, brać panienkę na raki! Jeszcze i skaleczyła się w dodatku! Niechże panienka Iza idzie do domu, bo Angielka szuka, a ty, zbytniku, odnieś raki do kuchni, a sam skocz duchem i nakryj skrzynie inspektowe.

Iza już się śmiała i kazała sobie złożyć raki w siatkę, aby je mogła nieść sama do dworu.

— Pójdziemy chwytać raki i jutro, ale bez żab.

— Nie można bez żab—zaprzeczył chłopiec poważnie.

— Niech panienka weźmie trochę mięsa od kucharza, to jeszcze lepiej, a ty, głupi, żebyś mi żab nie dręczył i nie mordował.

Dziewczynka obiecała ogrodnikowi cygaro, a Antkowi bułkę z masłem.

Nazajutrz Antek od rana gorliwie pracował z gracą w ręku na ścieżkach ogrodu wraz z kilkoma najętymi chłopcami ze wsi, gdy nadszedł ogrodnik i mówił, wskazując olbrzymie stare topole i lipy:

— Patrzcieno, chłopcy, tam na drzewach jest moc gniazd wronich i stąd pełno wrzasku co rano i wieczór. Dziedziczka obiecała po pięć kopiejek za każde gniazdo strącone, więc może który ma ochotę spróbować.

A byli tam wszyscy znacznie starsi od Antka, choć on im nie ustępował we wzroście, a przodował siłą.

Wszyscy oglądali zdaleka owe gniazda na szczytach drzew, ale nie zdało im się to łatwem i ponętnem, więc znowu wracali do grabi i grac, robiąc powolnie i rozmawiając z sobą.

Ale Antkowi zaświeciły oczy.

— Panie, ja pójdę!

Ogrodnik udał, że nie słyszy i postanowił udać się z tą sprawą do Pękalskiego, aby przysłał dorosłych parobków.

Lecz już znowu wezwano go do dworu.

— Mój panie Ignacy, a cóż z temi wronami? wszak ja spać nie mogę, a nawet wyjść do ogrodu — narzekała pani Calińska, cierpiąca na częsty ból głowy i zbolałe nerwy.

— Trudna to sprawa, proszę pani, chłopcy nie mają odwagi, więc pójdę do Pękalskiego po parobków.

— A Antek? — spytała obecna przy rozmowie Iza.

Ogrodnik nie chciał Antka użyć do tego, gdyż po prostu bał się o chłopca, bo lubił go bardzo. Ale dziewczynka wybiegła do ogrodu z tą myślą, więc pośpieszył za nią, chcąc czuwać i radą wspierać chłopca.

I znowu była długa, choć trochę okrutna zabawa, której się nawet Angielka przyglądała z pewnem zaciekawieniem.

Chłopiec z chyżością kota wdarł się na szczyt pierwszego drzewa i wciągnął sobie na szpagacie długą lekką tykę.

— Antek, a przywiąż się pasem do gałęzi!—upominał ogrodnik.

Chłopiec usłuchał i po chwili już strącał na ziemię gniazda uderzając w nie tyką.

Wszczął się straszny wrzask mnóstwa

Dodać potrzeba, że namiętność polityczna i po stronie chrześcian nie bardzo się hamuje. Skrytobójstwo i uprowadzanie wyższych nawet urzędników tureckich nie obce jest programatowi działań. Niedawno pod samym Konstantynopolem uprowadzono syna baszy wilejatowego, a na niego samego czyhano, aby go zgładzić.

Słusznie zwracają na siebie uwagę w tych czasach odwiedziny vice - admirała Hildebranda z eskadrą rosyjską w Küstendże d. 5 b. m. Admirał bezzwłocznie pociągiem nadzwyczajnym odjechał do Sanaja, skąd powóz dworski zawiózł go do rezydencyi Pelesz. Śniadanie honorowe na 40 osób, przemówienie o braterstwie broni z r. 1877 i o wielkim stosunku przyjacielskim z Rosyą, przedstawienie orszaku następcy tronu rumuńskiego, a po powrocie do Küstendżu oglądanie portu, jako też przystani w Czarnejwodzie — te fakty przynosi telegram. Odwiedziny są tem godniejsze uwagi, że mają charakter umyślnego wysłania, co stwierdził sam król w swym toaście, i że Rumunia, według niedawnych jeszcze objawów, znajduje się w w sferze wpływów austryackich.

W Serbii wybory do skupczyny rozpoczęte; powołano dotychczas w liczbie 88 wybranych 75 radykalnych.

Sejm galicyjski ma być na nowo wybranym. Rozpoczęto już zabiegi i starania. Komitet centralny urzędowy, w dotychczasowym stylu wytworzył się z 32 osób, ale w warunkach dość niepomyślnych: miasta wymówiły mu posłuszeństwo. Walka będzie zacięta. Nadzieja niepodległości wyborów krucha: stary nałóg zbyt jest miły, aby go się wyrzec chciano.

We Francyi cisza. Waddington, od dwu lat już prezes ministrów, zyskuje w rozmyślaniach dziennikarskich nową powagę. Na jesieni wielkie manewry z 4 korpusów w Bretanii.

Cesarzowa matka, wdowa po Fryderyku III, siostra króla angielskiego, umarła d. 5 b. m. na zamku Cronberg. Zgon ten zepsuł cesarzowi Wilhelmowi dwie uroczystości i dwie mowy: w Emden i w Hamburgu. D. 8 b. m. miał powitać feldmarszałka-generalissimusa Walderseego.

W Chinach dyplomacya zbiorowa kończy swe znoje. Za dziesięć dni powinnaby podpisać ostateczny traktat, czy też protokół,—choć dziwną byłaby ta forma jako dopiero wstępna, tymczasowa

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PROWINCYI.

Kaznodzieje i moralność ludu. — Zniesienie szachownic. — Prawo brzegów. — Komunikat urzędowy do redaktora *Tygodnia piotrkowskiego.*

Zepsucie ludu miejskiego i wiejskiego jest bardzo ponętnym tematem dla kaznodziejów w prasie i życiu prywatnem, szczególnie w takich wypadkach, jeżeli „demoralizacya" owa nie leży w osobistym interesie moralizatorów. Co się nazywa objawem „znużenia," „potrzebą wypoczynku," „godziwą rozrywką," „niewinnym ekscesem," w sferach t. zw. „inteligencyi," to jest „zepsuciem," „lenistwem," „skażeniem obyczajów," a nawet „zdziczeniem moralnem" śród ludu. Są różne miary grzechów i warunków popełniania ich. Upicie się szampanem lub tęgim maślaczem w towarzystwie wesołych dam nie jest kategoryą wykroczeń, zwanych alkoholizmem, gdy tymczasem upicie się prostą gorzałką jest pijaństwem, świadczącem o upadku moralnym.

Podobnych miar używa korespondent z Klimkiewiczowa w *Gazecie radomskiej*: „Niekiedy w wolnych chwilach po pracy lub też przy święcie można widzieć w naszych stronach używających przejażdżki na rowerach dobrze uposażonych ludzi, których stać na kosztowną maszynę..." Za nimi na podobnej maszynie mknie co sił starczy jakiś „pajac." „Po rozklekotanej maszynie i waryackiej jeździe, ci, którzy znają dobrze ludność fabryczną, domyślą się łatwo, że ów „pajac-rowerzysta" jest ślusarczykiem, tj. popychadłem w warsztacie ślusarskim, który zarabiając około 30 rb miesięcznie, kupił używany rower, sam połatał go jako tako i dawajże udawać panka, pozostając w tem błędnem mniemaniu, że przechodnie podziwiać będą jego zręczność i gracyę, z jaką siedzi na rowerze. A może pomyślą, że to „inżijer" jedzie..." „Pędź sobie, panie ślusarczyku, co sił na rowerze, wysilaj mózg, jak zdobywać grosze na kupno u tandeciarza odpowiedniej liberyi, a że u niektórych z was znajdzie się w domu staruszka matka lub drobne, osierocone przez ojca rodzeństwo, przymierające głodem, co was to może obchodzić? To drobnostki, na które ludzie waszej miary nie zwracają uwagi."

„Ślusarczyk," „pajac-rowerzysta," po kilkunastu godzinach oddychania opiłkami żelaza w zaduchu, nie ma prawa pozwolić sobie na taki zbytek, jak rower, nawet zniszczony i nabyty za kilka rubli od posiadacza uprzywilejowanego. Jest to znamienny przeżytek pojęć społeczeństwa klasowego. Niegdyś zwykłemu śmiertelnikowi nie wolno było zaprzęgać tyle koni, co władcy. Pojęcia tego rodzaju przeszły różne fazy i odradzają się atawistycznie w mózgach dzisiejszych. W społeczeństwach cywilizowanych i wysoce kulturalnych rozwój poczucia coraz szerszych potrzeb śród mas jest objawem pomyślnym, czynnikiem postępu. U nas—przeciwnie—karygodnem zuchwalstwem paryasa. Poglądy korespondenta *Gazety radomskiej* nie są rzadkiem *curiosum*. Powtarzają się one dość często i nawet są środkiem samoobrony. Przypomnijmy sobie tylko te wszystkie argumenty i dowodzenia z powodu wychodźtwa zarobkowego, wypowiedziane niedawno przez ludzi najbardziej zainteresowanych, tj. tych, którym chodziło o obfite i tanie siły robocze. Głoszą oni, że wychodźtwo zarobkowe jest objawem próżniactwa i chęci użycia, że robotnicy wiejscy przynoszą z dalekich wędrówek wszystko, co może być najgorszego: dążność do rozszerzenia zakresu potrzeb. Istotnie, jest to dla zarobkodawców nie na rękę, gdyż rozszerzona skala potrzeb śród najemników pociąga za sobą drożyznę rąk roboczych.

Jednym z objawów niższej kultury śród ludu naszego, a zarazem czynnikiem jego niedomagań ekonomicznych są szachownice. Otóż korespondent *Ech płockich i łomżyńskich* zaznacza fakt, że w ostatnich paru latach kilka wiosek kurpiowskich skolonizowało swoje szachownice. Niestety, regulacya ta odbywa się w sposób wadliwy. Kurpie nie mają doświadczenia w tej mierze, skutkiem czego wytwarzają się różne nieporozumienia przy samej czynności tudzież przy obejmowaniu w posiadanie kolonij i używaniu ich. Dla uniknienia tych nieporozumień, narażających na procesy i straty, korespondent doradza przyjęcie następującego projektu: Należałoby przedewszystkiem, aby w akcie re-

---

wron, które zleciały się zewsząd i krążyły dokoła, usiłując odstraszyć napastnika.

Na ziemię spadały całe gniazda, a za niemi razem lub osobno, młode wronięta; to nagie jeszcze, to w połowie tylko upierzone. Zabijały się lecąc i uderzając się o gałęzie, lub tylko ogłuszone w gnieździe, padały wnet ofiarą dwóch jamników przyprowadzonych przez Pękalskiego.

Iza patrzała z pewną odrazą i nawet chciała przerwać to niszczenie gniazd, ale ustąpiła wobec uwagi Angielki, że mama cierpi bardzo już od paru tygodni wiosennych z tego powodu.

Chciała odejść, ale niepokój ją brał o Antka.

Właśnie zlazł już z pierwszego drzewa, a miał kilka szram na twarzy i dziur w grubem płóciennem upraniu.

— Nie spadniesz? nie boisz się?—pytała go troskliwie.

— Nic mi nie będzie, panienko!

Napił się wody, poprawił paska i piął się znowu na ogromną lipę ze zwinnością kota.

— Lebski chłopak!—rzekł Pękalski.

— Żeby się jeno nie zmarnował—dodał ogrodnik.

A tamci od gracy i grabi, radzi okazyi, rzucili robotę i przyglądali się bezmyślnie lub próbowali dobijać wronięta, ale ogrodnik napędził ich groźnie, choć dwóch już chciało naśladować Antka.

Można sobie wyobrazić, jakie było ich zdumienie na wieczór, kiedy Antek otrzymał od panienki półtora rubla za trzydzieści gniazd zniszczonych, bo tyle ich właśnie było na drzewach.

— I cóż sobie kupisz?—pytali zazdrośnie.

— Pan ogrodnik sprowadzą mi książki.

- Ot, głupil a patrzże, jak podarłeś koszulę i spodnie— przedrwiwali potem, mówiąc między sobą o piwie, papierosach i podkówkach do butów, co stanowiło cel pragnień ukrytych dla każdego z nich.

Chłopak już tego nie słyszał, bo pilno mu było przebrać się w ów strój galowy, liberyę, która wisiała w oranżeryi, na co mu pozwolił ogrodnik, zalecając, aby zniszczone ubranie wnet odniósł starej Kundzie, przy kuchni, do naprawy.

Lecz krótka była uciecha. Kołnierz kurtki dusił go w szyi, rękawy silnie uwierały pod pachami i krępowały ruchy, a ciężkie buty zmuszały niemal do powolnego stąpania, ściskając jego nogi niby kleszczami. To też coraz rzadziej brał owe ubranie z kołka, a za każdym razem czuł się tem lepiej, ilekroć wdziewał ponownie stare obleczenie od matki, składające się z płótnianki, spodni i sukmany.

Wtedy było mu jakoś lekko, choć przy pracy, do której go napędzał ogrodnik, a biegł jak chart na każde wezwanie panienki, gotów do figlów i psoty.

W piątek, jak świt, zbudził go ogrodnik.

— Wstawaj, chłopcze, pójdziemy łapać ryby do stołu.

Antek skoczył na równe nogi, włożył buty ojcowskie, narzucił na plecy sukmanę i stanął wnet na wezwanie.

Kazano mu nieść wiadro.

Stary Szymon z młodym stajennym dźwigali zwiniętą sieć, a ogrodnik szedł na przedzie z długim bełtaczem.

Przyszli na łachę.

Wtedy Antek zauważył, że Szymon wszedł w zarośla nadbrzeżne, a za chwilę wypłynął na wodę w małem, lekkiem czółenku. Zapamiętał sobie to miejsce na wszelki wypadek.

Stajenny rozłożył sieć i powoli jął ją posuwać do wody w kierunku powroza, za który zlekka pociągał Szymon z drugiego brzegu łachy. Sieć wystarczyła na całą jej szerokość.

Wtedy ogrodnik kazał Antkowi iść brzegiem głębokim i bić raz przy razie bełtaczem w wodę, żeby ryby płoszyć z głębiny i napędzać do siatki. Gdy tak przeszli kilkadziesiąt kroków, Szymon powrócił do stajennego i wtedy już ciągnęli sieć do niskiego brzegu, zakładając skrzydło na skrzydło.

Z niecierpliwością oczekiwano ukazania

gentalnym, na którego mocy następuje skolonizowanie, były wymienione najdrobiazgowiej wszystkie warunki: koszty ogólne, szczegółowo zaś, jaką część tych kosztów każdy osadnik ma ponieść w pieniądzach, w naturze, pracą osobistą, robotnikiem i sprzężajem, a także sposób podziału kolonii na osady, bory, łąki i paśniki, drogi, rowy itd. Nadto, należy się postarać, aby cała treść umowy była jak najdokładniej zrozumianą przez wszystkich jej uczestników ze względu na to, że w przyszłości wywołuje nieporozumienie „nietylko zła wola chłopów lub podżegaczy, ale i złe zrozumienie umowy." O dawnych drogach np. umowa nieraz wspomina niejasno, a skasowanie ich faktyczne bywa bardzo niewyraźne. Skutkiem tego chociaż owe drogi nie są już potrzebne, niektórzy włościanie chcą uparcie niemi jeździć, bądź z przyzwyczajenia, bądź dla lepszej sposobności wypasania cudzych łąk. Również niewyraźne określenie nowych dróg w akcie tudzież na roli wywołuje sprzeczki i procesy, „gdyż niejeden chłop przez chciwość albo wprost przez nieświadomość wzbrania przejazdu przez swoją kolonię, twierdząc, że w tem miejscu droga nie jest wytknięta i że uszczupla mu się tem kolonia." To samo się dzieje z rowami. Bardzo często na nie wieś przeznacza ziemię oddzielnie od kolonij, tj. miejsc zajętych na rowy nie wlicza do przestrzeni kolonij. Pomimo to wszakże niektórzy włościanie nie dają kopać rowów przez swoje kolonie. „Zdaje się — mówi projektodawca — że tych wszystkich nieporozumień można byłoby uniknąć, gdyby geometrzy oddawali kolonie wobec całej gromady, przyczem szczególną uwagę zwracali na najmniejszą dróżkę lub rów."

Pożądanem jest również, aby na każdej osadzie, której pewna część jest w posiadaniu dożywotników, odpowiednia działka mogła być dla nich wymierzona na nowopowstałej kolonii, gdyż często o to w przyszłości powstają kłótnie i procesy, dożywotnicy narzekają, że właściciele osad znacznie mniej im wydzielili w kolonii, niż oni mieli w szachownicy. Nieporozumienia te, dzięki pokątnym doradcom, doprowadzają do licznych i ciężkich procesów i narażają włościan na znaczne koszty.

Wskazówki korespondenta *Ech płockich i łomżyńskich* mają wielką wagę, więc należałoby je w czyn wprowadzić, tem bardziej, że skasowanie szachownic jest wielce ważną potrzebą gospodarczą, dotyczącą znacznych mas ludności.

Dotychczas lud był niejednokrotnie narażany na nieporozumienia i procesy skutkiem niejasnych przepisów co do posiadania rzek i ich pobrzeży. Zmiana koryta najczęściej była przyczyną takich nieporozumień. Obecnie — jak donoszą *Birż. Wied.* — senat wyjaśnił w pewnej sprawie włościańskiej, że tak zwane „prawo brzegów," dotyczące prywatnej własności brzegów danej rzeki, rozumieć należy, w razie wyschnięcia lub zmiany koryta, jako posiadanie nietylko samego brzegu, do którego przylega własność ziemska, ale i połowy szerokości rzeki. Wyjaśnienie to ma wielką wagę i dla naszego ludu, zarówno pod względem moralnym, jak i ekonomicznym.

Innego rodzaju wyjaśnienie otrzymał redaktor *Tygodnia* z kancelaryi gubernatora piotrkowskiego. Oto treść komunikatu: „Z polecenia JW. pana Naczelnika gubernii, sądzącego z pewnych notatek, zamieszczanych w wydawanem przez pana czasopiśmie, że pan przypuszczalnie nie zna nazw wszystkich ulic w mieście, nadanych na zasadzie Najwyżej zatwierdzonego d. 1 grudnia 1883 r. planu regulacyjnego miasta, kancelarya ma zaszczyt przesłać Mu do wiadomości i stosowania trzy egzemplarze listy ulic z nazwami, które im nadano na zasadzie pomienionego planu regulacyjnego, zamiast używanych do r. 1870. Oto nazwy ulic, zmienione według planu regulacyjnego (w nawiasach nazwy dawne): Żelazna (tak samo), Petersburska (Kaliska), Moskiewska (Bykowskie Przedmieście, Dominikańska, Nowo-Warszawska), Pocztowa (tak samo), Orlowska (Toruńska), Odeska (Blichowa, Rokszycka), Woroneska (Rycerska, Szewcka), Połtawska (Grodzka), Piotrkowska (Sieradzka), Ekaterynońska (Nowe Miasto, Rycerska), Luterańska (Rwańska), Stara (Łazienna Mokra), Kościelna (Łazienna Sucha), Gimnazyalna (Łazienna Sucha), Słowiańska (Krakowskie Przedmieście), Twerska (Nadrowy), Kazańska (Farna), Nowogrodzka (Warsz. Przedm., Franciszkańska), Kijowska (Zamkowa), Nadbrzeżna (nie miała nazwy), Juńska (Zamurowa), Żydowska (Wspólna), Anieńska (nie miała nazwy), Tobolska (Bykowska), Gieorgiewska (Jerozolimska, Nowo-Sulejowska), Sulejowska (tak samo), Krótka (t. s.), Litewska (t. s.), Handlowa (t. s.), Rzemieślnicza (t. s.), Zamiejska (nie miała nazwy), Grecka (Kościelna), Prowiantowa (Krakowska), Oddzielna (t. s.), Polowa (nie miała nazwy), Błotna (nie miała nazwy), Ogrodowa (Dolna), Aleja Aleksandryjska (nie miała nazwy), Dońska (Przedborska), Dnieprowska (Działoszyńska), Belzacka (Nowa), Michałowska, Częstochowska, Nowa, Poprzeczna, Szklana, Polna, Krzywa, Szydłowska, Promenada. Place: Aleksandryjski (Bernardyński), Maryjski (Stary Rynek), Mikołajewski (Nowy Rynek), Włodzimierski (nie miał nazwy), Sergjuszowski (Litewski)."

Drogomir.

Z NIEMIEC

Berlin, 3 sierpnia.

Taryfa samobójcza.

Jeśli prawdą jest, iż śmieszność zabija, to rząd niemiecki można nazwać najkonsekwentniejszym samobójcą. Od lat dziesięciu bowiem podkopuje on swoimi czynami własną powagę i szacunek w oczach całego świata daleko gruntowniej i systematyczniej, niż czynią to najbardziej zdecydowani wrogowie ładu i porządku. Śmiesznym jest ów krawiec ze „Snu nocy letniej," który, naśladując rykiem swym lwa, usiłuje wywołać w widzach przeciwstawienie strachu śmiertelnego. Komicznym jest Eckdal z „Cyranki" Ibsena, gdy odbywa polowanie na lwy u siebie na strychu. Rząd niemiecki przypomina dość często te dwa klasyczne pierwowzory. Ileżkrotnie obdarzał świat mowami patetycznemi na temat „jestem, który jestem." Czyż nie stanął on na wysokości Eckdalowskiej, gdy wysyłając żołnierzy przeciwko bandom bokserów, starał się przekonać świat i poddanych swoich, którzy mu nie uwierzyli że prowadzi wojnę krzyżową? A jednak te wszystkie przechwałki i autoreklamy koturnowe są żartem w porównaniu z nowym debiutem.

Wyobraźmy sobie na chwilkę, iż kanclerz Bülow zwraca się do Rosyi, Stanów Zjednoczonych, Anglii, Austryi, Włoch, Rumunii, Szwajcaryi, Belgii, Holandyi, Grecyi, Hiszpanii i Argentyny z temi słowy: „Jesteście wszystkie moimi wasalami. Ja wam podyktuję taryfę celną, a wy, stojąc

---

się matni; jakoż silne ruchy wody nad nią zwiastowały zdobycz obfitą i wnet ogrodnik wyrzucał kolejno srebrzyste szczupaki, sinawo-zielone okunie i złociste karpie, a Antek chwytał je zręcznie i wkładał do wiadra.

Przy drugim zakładzie sieć zaczepiła o starą kłodę, zatopioną w wodzie, więc po długiej mitrędze wydobyto ją z dwiema dziurami i całkiem pustą matnią w dodatku.

Szymon zaklął zcicha, wytykając przytem niedbalstwo Pękalskiego, lecz wnet się chwycił iglicy i szpagatu, które miał w zanadrzu.

Wtedy chłopiec, nie mając co robić, zaczął brodzić po płytkim brzegu, kędy leżały na kupie i pojedynczo ogromne kamienie, napół zanurzone w wodzie, a potem zrzucił sukmanę i buty i śmiało wszedł do łachy po pas.

Kolejno stawał przy kamieniach, obmacywał je pod wodą rękami i nogami, poczem schylał się szybko, i wnet wydobywał raka lub miętusa i ciskał zdobycz na brzeg z rozmachem.

Stajenny zbierał to do wiadra.

Stary ogrodnik nie mógł ukryć swojego zadowolenia na widok sprawności chłopca, ale Szymon, lubiący zrzędzić, zawołał go do brzegu, żeby właśnie innych ryb nie płoszył.

Zrobili jeszcze dwa zakłady i na tem poprzestali, gdyż ryby w łasze były zawsze pewne, a to, co już złapali, wystarczyć mogło na piątek i sobotę dla dworu, ba! nawet dla księdza proboszcza i czeladzi folwarcznej.

— A ty, chłopak, co zrobisz z miętusami?—spytał ogrodnik.

Na to nadszedł Pękalski.

— Co! macie i miętusy dzisiaj? — zawołał radośnie.

Przekładał starowina tę rybę w zupie i marynacie nad wszystkie inne, a przychodził zawsze po swoją porcyę przy połowie, na mocy pozwolenia dziedziczki.

— Mamy i jakie!—pochwalił się ogrodnik, poczem kazał Antkowi zanieść te ryby do oficyny ekonoma.

Dobrze już po południu Iza wpadła do inspektów i odszukawszy Antka, zajętego przesiewaniem ziemi kompostowej, ofiarowała chłopcu całego smażonego karasia i dużą kromkę białego chleba na podwieczorek.

Jeszcze się nie widzieli tego dnia z sobą.

— Sporo takich wzięliśmy dziś rano z łachy— rzekł chłopiec od niechcenia.

Ale panienka rozgniewała się na dobre.

— Ty jesteś nie dobry, jesteś niegodziwy! Czemuż to mnie nie powiedziałeś, że idziesz na ryby? — robiła mu gorzkie wymówki.

Ano i prawda, czemuż jej o tem nie powiedział? Zapomniał na razie, że brakło mu czasu na to, że nawet nie wiedział, gdzie jej szukać w tym dużym dworze, a już na myśl mu zgoła nie przyszło, że panienka o świcie zwykła jeszcze spać w najlepsze.

Zdało mu się, że zrobił jej krzywdę wielką i to tem większą, że karaś smażony w śmietanie smakował mu bardzo.

— Panienko, a Szymon ze stajni to mają czółno malusie na łasze — powiedział spiesznie, rad przecie, że ją czemś zabawi.

Jakoż dziewczynka zaciekawiła się ogromnie i zapragnęła natychmiast obejrzeć to dziwo.

Antek usłuchał chętnie i pomknęli chyłkiem nad łachę. Tam czółno znaleźli z łatwością, ale cóż z tego, skoro nie mieli wiosła, a czółno było zaczepione łańcuchem u drzewa i zamknięte na kłódkę.

— Mniejsza o wiosło, te bym zaraz sporządził, ale łańcuch...—rzekł Antek.

— Może zerwiesz?

Weszli oboje do czółenka; zaczęli majstrować na wszystkie strony i najniespodziewaniej odczepili łańcuch z łatwością. Snadź stary Szymon niedowidząc, założył kłódkę mimo ogniwa.

Ucieszyli się tedy ogromnie, a Antek skoczył natychmiast do warsztatu ogrodnika i na małą chwilę wrócił z lekką łopatką, naprędce ociosaną z kawałka deski.

Chłopiec znał już jazdę na takiem wy-

na klęczkach przede mną, podpiszecie ją. Ja nałożę podług własnego widzimisię daninę na wasze towary i przemysł, a wy będziecie ją opłacały. Proszę — ani mru, mru!“ Tego rodzaju wybryk, który przed kilku dniami ze sfery możliwości, a raczej niemożliwości przeszedł w dziedzinę faktów dokonanych, jest już nie śmiesznością, lecz wprost obłędem wielkości. Bo jeśli rząd niemiecki dekretuje na papierze nowe „ery historyczne“ i „czyny epokowe,“ jest to jego rzecz i sprawa. Ale jakże mógł ten rząd chociażby na chwilę przypuszczać, iż cały świat od bieguna do bieguna zegnie kark przed Bülowem? Czyż nie mógł domyślić się, iż prasa europejska przywita naiwne pretensye jego kartaczem kpin i oburzenia?

Trzy powody skłoniły rząd niemiecki do zajęcia śmiesznej lecz zarazem szkodliwej pozycyi. Naprzód „piękne oczy“ junkrów, niegdyś świecące płomieniem przyjaźni, a dziś tak zimne, pełne obojętności. Był czas, kiedy junkrzy podpierali szwankujący nieco tron pruski mieczami swoimi, dziś kroczą własną drogą i sprzedają przyjaźń swoją na licytacyi polityoznej. Chcąc podbić napowrót serca zachowawcze, rząd prześcignął przepowiednie wszystkich Kasandr politycznych i oczekiwania wszelkich mężów przewrotu. Oto kilka próbek. Masło i ser ocłono o 50% wyżej w porównaniu z traktatem handlowym z r. 1894; jaja, pochodzące przeważnie z Królestwa, mają ponosić odtąd podwójny ciężar celny. Zboże, jako rzecz zbytku, również obciążono podwyżką przeciętnie o 50%. Ażeby jednak brnący w materyalizmie naród mógł objeść się do syta, nie ocłono najbardziej pożywnego i smacznego środka spożywczego — kartofli.

Druga rubryka obejmuje cła skarbowe. Ponieważ wojna krzyżowa przeciwko niewiernym w Chinach wyrządziła skarbowi niemieckiemu straty, ponieważ dalej Europa nie oceniła dostatecznie szczytnych zamiarów rządu niemieckiego, to powinna teraz za karę zająć się zacerowaniem i załataniem tak haniebnie podziurawionego budżetu niemieckiego. Stąd szereg ceł skarbowych — na piwo, naftę itp.

Wreszcie nie chcąc obudzić zazdrości w przemyśle i uzbroić go przeciwko agraryuszom, tuczonym ze żłobu państwowego a przytem w imię wielkiej i świętej zasady sprawiedliwości, obdarzono przemysł wytwórczy przywilejami celnemi bez liku. Dość powiedzieć, że szkic taryfy w wydawnictwie *„Reichsanzeigera“* obejmuje tylko 167 stronic, a pozycyj wszystkich projekt liczy ni mniej ni więcej tylko 946. Co prawda, ułożenie tej tabeli opłat nie sprawiło rządowi wielkich kłopotów. Ministeryum zwróciło się wprost do wszystkich sfer zainteresowanych z zapytaniem: „Mówcie komu czego braknie, kto z was pragnie, kto z was łaknie?“ Na ten pozew przybyli wszyscy — nędzni i zgłodniali — akcyonaryusze wielkich zakładów z zasmolonemi rękami, którzy w pocie czoła chleb swój zdobywają, dyrektorowie z syndykatów i karteli, owych instytucyj miłosierdzia ludzkiego, właściciele hut, kopalni i upadłszy na kolana przed Bülowem zawołali: „Mistrzu elegancyi, zlituj się nad nami, nad naszemi metresami i dziećmi naszych metres.“ A Bülow, na którego czole maestro Lenbach odkrył zmarszczkę dobroci, wzruszył się do głębi serca na widok tych ludzi w łachmanach i zamienił taryfę na kolektę dobroczynności. Tak np. połączył wszystkie wyszczególniane dotychczas taryfy na cukier od 15 do 36 marek w jedną ryczałtową opłatę 40-markową. Wyznajemy, iż rząd porobił liczne wyjątki. Tak np. odmówiono datku celnego fabrykom papieru, albowiem na nim drukuje się oprócz lirycznych poezyj i hymnów do Egira także i artykuły podżegające przeciwko rządowi niemieckiemu. Dalej na wypadek gdyby wskutek drożyzny chleba i braku zajęcia ludzie zaczęli wymierać tak gwałtownie, iż zabrakłoby w Niemczech trumien, kanclerz uwolnił ten niezbędny „dla życia“ przedmiot, od wszelkiej opłaty.

Tak wygląda z pierwszego rzutu oka projekt rządowy. Łatwo się domyślić, iż publikacya rządowa, wywołana niedyskrecyą, prawdopodobnie pozorną, ministeryum wirtemberskiego, sprawiła wrażenie piorunujące. Las gazet zaszeleścił ogólnym szmerem. Nawet pisma zagraniczne nie ukrywają swego rozczarowania, gdyż podwyżka ceł wyniosła jeszcze o 30% mniej, niż wymagała tego sprawiedliwość i nędza landlordów pruskich. W publiczności zapanowała cisza—przed burzą. Jakie słodkie i chwytające za serce tony wydobywają ze swych lutni bardowie dziennikarscy, niechaj świadczą słowa liberalnego pisma poniedziałkowego *Die Welt am Montag*: „Publikacya taryfy oznacza dla narodu zaproszenie do tańca— do tańca z orężem w ręku“ (Waffentanz). Człowiekowi wprost włosy stają na głowie na samą myśl, iż pewnego dnia pod Lipami rozpocznie się budowa barykad. Jeszcze tego brakowało! Nie dość, że prasa urzędowa dowiedziawszy się o taryfie Austryi, przemawia tak płomiennym językiem nienawiści, jak gdyby się to działo w przeddzień wojny, a Włochy rzucają do ogrodu niemieckiego potężne bryły górskie w obronie swych owoców i produktów rolnych.

Bülow jednak w sposób stoicki wytrzymał pierwszą kanonadę i pomimo tak gorących czasów, zamierza wkrótce udać się do Monachium, gdzie Lenbach będzie dalej pracował nad jego portretem. Dobrze byłoby pospieszyć z pozowaniem, albowiem kto wie, co może być za roczek.

H.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wycieczki naukowe.

Podróże są powszechnie uznanym czynnikiem kształcącym; rozszerzają one poglądy na świat i uzupełniają wiedzę książkową; doniosłość ich staje się wyjątkową, jeżeli idzie o wycieczki przyrodnicze lub krajoznawcze, przedsiębrane przez młodzież pod kierunkiem wytrawnych nauczycieli. Młody umysł chciwie chwyta wrażenia, przyswaja daleko łatwiej fakty konkretne, obserwowane bezpośrednio, aniżeli zaczerpnięte z książek. Dlatego też bardzo pożyteczne są wycieczki w określonym celu. Nie należą one bynajmniej do nowości u nas; nieodżałowany prof. Wojciech Jastrzębowski uprawiał je z zamiłowaniem; prowadził swych uczniów z kijem podróżnym w ręku przez rodzinne niwy, błonia, lasy, ucząc obserwować, badać i kochać matkę naturę, podziwiać jej piękne dzieła, jej twórczy postęp. Do dziś dnia żyją starcy, którzy towarzyszyli „ojcu“ w tych wycieczkach i wspominają je z rozrzewnieniem i zapałem. Wielu z pomiędzy nich naśladowało dzielnego profe-

---

wrotnem czółenku, bo nieraz brał podobne od rybaków i puszczał się sam po Narwi.

— Niech panienka siada na dnie i siedzi spokojnie.

Iza była posłuszną, a jego to mało obchodziło, że nowa jej biała sukienka, śliczne pończoszki i jasne pantofelki mogły uledz zupełnemu zniszczeniu.

Po cichej i przezroczej tafli wodnej w lasze lekkie czółenko pomknęło z łatwością, a Antek kierował niem z dumą, ciągle upominając Izę, ilekroć ta obracała głowę, chcąc widzieć jego ruchy lub choćby tylko coś przemówić.

Już niemal opłynęli naokoło całą przestrzeń, gdy Iza dostrzegła w nadbrzeżnej alei matkę i Angielkę w towarzystwie jakiejś kobiety ze wsi.

— Antek, to nas szukają! — szepnęła z lekką obawą, gdyż pani Calińska raz na zawsze zabroniła jej puszczać się na wodę.

W pobliżu były gęste kępy tataraku i trzciny, oddzielające łachę od rzeki.

Chłopiec również poznał swoją matkę.

— Wiosłuj ostro i schowajmy się w tataraku! — zachęcała dziewczynka swawolnie, a jednocześnie usiadła na przegródce czółenka i patrzyła na Antka, podniecając go wzrokiem.

Chłopiec, niewiele myśląc, wyprężył ramiona i jął garnąć wodę z całej siły swoją łopatką. Czółenko pomknęło chyżej i już miało się skryć w zaroślach, gdy raptem uderzyło o coś nosem, a oboje jadący stracili równowagę i wpadli do wody.

Uderzyli w ramę kraty drucianej, założonej przez szyję łachy, ażeby ryby nie uchodziły do rzeki.

Antek wnet wydobył się na powierzchnię i, obyty z wodą, śmiało popłynął, ale zaraz potem mignęła z lewej jego strony biała sukienka Izy i dziewczynka przeraźliwie krzyknęła, na jedno mgnienie oka wypłynąwszy na wierzch w rozpaczliwem trzepotaniu się.

Bez namysłu przyciągnął tę sukienkę do siebie, a wtedy uczuł, jak obie ręce Izy oplotły jego szyję w gwałtownym uścisku.

— Ratujcie, matulu! — wrzasnął chłopiec, spadając pod tym ciężarem na dno bagniste i pełne splątanych wodorostów.

Nagle prawą ręką zaczepił o coś twardego i schwycił mocno.

Oboje wtedy wydobyli się znowu na powierzchnię, chłopiec trzymał się właśnie owej kraty ochronnej.

Obiema rękami przerzucił się jeszcze wyżej i byli już bezpieczni oboje, bo rama nie opadała pod ich naciskiem.

Pluli wodę i chwytali oddech.

— Puść mię, a chwyć się drewna, jak i ja!—rzekł Antek niecierpliwie.

Iza tego nie słyszała, zmuszona walczyć z włosami, które ją oślepiały.

Na brzegu stanęły wnet kobiety, z których dwie wypełniały powietrze okrzykami bólu i trwogi, a trzecia rzucała się, to chwytając się gałęzi i krzaków, to znowu rozpinając stanik i suknię.

Antek spróbował posuwać się, przekładając ręce po trzymanej ramie. Szło mu to ciężko, gdyż nogami musiał się wybijać z oplątujących go wodorostów, a jeszcze i wlec panienkę za sobą.

— Antoś, synku, a puść-że ją i płyń chyżo do mnie! — darła się Józefowa na brzegu.

—Chłopcze, na Boga! trzymajże ją mocno! — jęczała niemniej głośno pani Calińska.

Wtedy spojrzały na siebie nawzajem te dwie przerażone matki.

Dziedziczka miała w oczach ból niezmierny i grozę, a Józefowa—żal straszny i prawie nienawiść.

I tak przez chwilę zmagały się wzrokiem o sile jednakiej, aż znowu zwróciły się każda do swojego dziecka wyciągając ramiona.

Angielka, doskonała pływaczka, już się pozbyła spódnicy i brała się do rozpinania guzików w trzewikach. Co prawda Iza i Antek, już mogli wybornie utonąć do tego czasu.

Chłopiec nie mógł się pozbyć dziewczynki, bo mu oplotła szyję w konwulsyjnym ruchu, ale też nie potrzebował jej trzymać, gdyż miała głowę nad wodą i już mu mówiła głosem urywanym:

sora i dorzuciło swoje grosze i dukaty do skarbnicy wiedzy.

W nowszych czasach budzić się zaczyna zamiłowanie do wędrówek, a niemałą rolę odegrał tu rower. W pismach ilustrowanych pojawiają się opisy wycieczek po ciekawych okolicach kraju, wychodzą nawet książki, gdzie turysta znajduje wskazówki, dokąd się obrócić, ażeby zobaczyć coś godnego uwagi. Tow. ogrodnicze urządza, a raczej urządzało w roku przeszłym wycieczki botaniczne. Należy popierać tego rodzaju usiłowania, budzące zamiłowanie do przyrody nieskończenie przyjemniejsze i pożyteczniejsze od bezmyślnych majówek, które zwykle mają za cel główny tańce i wypróżnianie butelek po za murami miejskimi.

Wobec zaprowadzenia w szkole średniej obowiązkowego wykładu nauk przyrodniczych, wędrówki takie staną się koniecznemi, młodzież bowiem nie może i nie powinna poprzestawać na suchej nauce z podręczników. Ażeby jednak wędrówki takie osiągały cel, to znaczy, żeby łączyły pożytek z przyjemnością, muszą być zorganizowane umiejętnie. Każdy nauczyciel, albo nawet przyrodnik, niezajmujący się nauczaniem w szkołach, niechby przed wakacyami urządził z młodzieżą wycieczkę tygodniową, naturalnie pieszą, w okolice najciekawsze, gdzie obok herboryzowania i zbierania owadów i minerałów, chłopcy znaleźliby sposobność zwiedzania fabryk, hut, gospodarstw, pamiątek archeologicznych itp. W Cesarstwie wycieczki takie udawały się w r. b. doskonale. Władze uznają widocznie doniosłość ekskursyj naukowych, gdyż d. 24 b. m. wprowadzają nową, zniżoną taryfę za przejazd uczniów, udających się na nie w wagonach klasy III.

Wychowańcy wyższych, średnich i niektórych niższych szkół będą korzystali z tych samych ulg, co dzieci małoletnie, to znaczy będą płacili pół biletu. Dla uczniów pozostałych szkół niższych i utrzymywanych przez skarb, a także niektórych prywatnych, ustanowiono przejazd bezpłatny do 50 wiorst; od 50 zaś do 300 wiorst — pół ceny kl. III. Dyrektorowie szkół porozumiewają się bezpośrednio z dyrekcyami kolei o dostarczenie potrzebnej liczby miejsc dla uczestników wycieczki.

A więc niechaj przyrodnicy zaraz po wakacyach gromadzą młodzież i uczą ją czytać wprost z wielkiej księgi przyrody ojczystej; niech przysposabiają krajowi przyszłych Śniadeckich, Wagów, Jastrzębowskich i Kluków. *w. u.*

Zdzierstwo.

D. 8 września r. b. w Mińsku otwarta będzie wystawa przemysłowo - rolnicza, obejmująca olbrzymią przestrzeń kraju — dziesięć dużych gubernij. Z tego powodu zapowiada się ogromny zjazd gości — niebywałe i bardzo rzadkie żniwo dla różnych spekulantów i przedsiębiorców. To też obecnie wszystkie mieszkania w hotelach są już zamówione. Do jakiego stopnia dochodzi już zdzierstwo, świadczy odpowiedź listowna jednego z właścicieli podrzędnych hotelików, którą mamy w ręku: „Niniejszem zawiadamiam wielmożnego pana, że w hotelu moim są jeszcze wolne pokoje po cenie 100, 75 i 50 rb. na cały czas trwaniu wystawy (10 dni).“ O zwykłej porze numery te są wynajmowane po 40 kop. na dobę. Wprawdzie komitet wystawowy zajął się zawczasu sprawą mieszkań dla gości i zaopatrzył się w lokale stosunkowo tanie (od 2 rb. na dobę), ale z tych udogodnień będzie mogła skorzystać ledwie cząstka przyjezdnych. Olbrzymia większość skazana będzie na łup zdzierców, tem bardziej, że Mińsk, pomimo szybkiego wzrostu, słynie z braku odpowiednich lokalów dla przyjezdnych. Zdzierstwo zapowiada się także w restauracyach, cukierniach, sklepach itp. A jednak należałoby położyć mu tamę na drodze prawnej. *p.*

Muzeum hygieniczne.

Nasze Towarzystwo hygieniczne objęło tak olbrzymi i różnorodny zakres działalności, że gdyby mogło wszystkie należące do niego pola i nieużytki uprawić, musiałoby powołać całe społeczeństwo do pracy rzetelnej. Dzięki tak szerokiemu programowi, nakreślonemu dotąd tylko w teoryi, pod adresem Towarzystwa hygienicznego skierowano już niezliczone mnóstwo żądań. Między innemi ktoś niedawno za pośrednictwem gazet polecił także tej instytucyi stworzenie Muzeum hygienicznego. Niewątpliwie może ono być nam potrzebne i wielce pożyteczne, założenie zaś jego mogłoby tem łatwiej przyjść do skutku, że znalazłoby się dużo osób zainteresowanych. Muzeum hygieniczne byłoby właściwie stałą wystawą, którą mogą zasilić wytwórcy wszelkich rzeczy, wchodzących w zakres hygieny. Podobno sporo materyału cennego po wystawie hygienicznej gdzieś umieszczono na strychu. Czy nie należałoby odszukać go? Byłyby to może pierwsze cegiełki do stworzenia muzeum. Jeszcze przed urządzeniem wystawy dr. Henryk Dobrzycki, prezes wydziału balneologicznego Towarzystwa hygienicznego, zajął się był szczerze sprawą założenia muzeum i nawet porozumiewał się z takiemi instytucyami za granicą. Nie wiemy jednak, co właściwie stanęło na przeszkodzie wprowadzeniu w czyn dobrej myśli. Muzeum hygieniczne mogłoby mieć doniosłe znaczenie społeczne i wychowawcze, zwłaszcza w naszem społeczeństwie, tak dalece zaniedbanem pod względem hygieny, która powinna wejść w życie powszednie. *z.*

BADANIA NAUKOWE.

Aeroplany.

(Żegluga powietrzna na maszynach latających).

Lilienthal, który przed pięciu laty dokonywał wzlotów na sztucznych skrzydłach, doszedł do bardzo pięknych rezultatów: dowiódł, że człowiek może latać, nie uciekając się do siły mechanicznej, pod warunkiem, że się nauczy wykonywać pewne ruchy na podobieństwo wielkich ptaków, korzystających z siły wiatru. Badacz ten utracił życie, podczas jednego ze swych zuchwałych doświadczeń właśnie wtedy, gdy zapoznawszy się cokolwiek z warunkami lotu, zamierzał przystosować do swych skrzydeł mały i lekki motor parowy. Nie znalazł on wprawdzie naśladowców, bo smutny jego koniec nie mógł nikogo zachęcić do nowych prób, niemniej przeto maszyny latające, cięższe od powietrza, stanowią ciągle cel zabiegów rozmaitych ludzi, pomiędzy którymi znajdują się takie powagi naukowe jak prof. Langley ze Smithsonian Institution w Waszyngtonie, prof. Marcy, prof. Richet, głośny wynalazca Maxim, prof. Wellner i wielu innych. W 1894 r., a więc jeszcze za życia Lilienthala, prof. Wellner z Wiednia wypracował projekt statku powietrz-

---

— Nie pojedziemy więcej czółnem... dam tobie tę książkę z obrazkami i katarynkę... Przebieraj rękami, chwytając się siatki niżej... będzie ci lżej, mój ty kochany Antosiu...

Chłopiec posuwał się ciągle do brzegu, ale słysząc głos matki, wołał od czasu do czasu przeraźliwie:

— Ratujcie, matulu!

Ot, tak sobie, krzyczał, bo mu pilno było do tej matki bolejącej, a tu ramiona strasznie ciężyły i nogi niemal drętwiały od ciągłych gwałtownych wysiłków.

Ale już minęli zarośla i dostali się na czystą wodę, kędy Antek dotknął nogami ziemi. Odetchnął ciężko i jął gniewnie odrywać rękę Izy od swojej szyi.

— Puść mię, przecież nie utoniesz, bo będę trzymał mocno.

— Trzymaj, mój ty... trzymaj... mamusiu! — zawołała dziewczynka głosem nabrzmiałym radością.

Angielka już była gotowa do bohaterskiego skoku, kiedy Iza rzuciła się w objęcia matki.

Antek szedł sobie wolniutko, a matka z brzegu łajała:

— O, huncwocie jeden, dam ja ci też, toć zawalałeś się w bajorze, jak świnia.

Jakoż na początek dała mu parę szturchańców, lecz i gorący uścisk macierzyński, a chłopiec stał, ociekając wodą niby winowajca jaki, nie śmiejąc spojrzeć w oczy dziedziczce i matce.

Więc spojrzał na Angielkę, ale ta zaczęła machać rękami i krzyknęła, gdyż miała mało obleczenia na sobie.

— Pójdźmyż do dworu, chodźcie i wy, Józefowo, z chłopcem; trzeba tych zbytników przebrać i osuszyć — rzekła pani Calińska, gwałtem powstrzymując śmiech.

— Dziękuję wielmożnej pani, ja go tam i tak do chałupy zapędzę, bo mu to nie po raz pierwszy — odrzekła pokornie wdowa, podejmując dziedziczkę pod nogi.

Nadbiegł zdyszany ogrodnik, przyczem Angielka krzyczała, jakby ją kto obdzierał ze skóry. Ale staruszek na to nie zważał i chwycił na ręce panienkę, gderając.

— Oto skutki, jak się takich dwoje ciekawych do wszystkiego zejdzie, a tu wszystkim tylko zmartwienie.

Pani Calińska z rozrzewnieniem głaskała Antka po głowie, to znowu przypadała do córki, aby ją ucałować.

— To bierzecie chłopca do siebie na kilka dni.

— Jeśli łaska wielmożnej pani, to niech już u mnie zostanie całkiem.

— Jesteś mu matką, moja droga, lecz czy ten karbowy...

— Żadnego tam karbowego znać nie chcę — odparła Józefowa z gniewem tłumionym.

— To może i lepiej będzie dla Antka, a ja mniej będę się bała o moje dziecko, skoro już nie będzie miało tak ochoczego pomocnika — dodała dziedziczka łagodnie.

Już ściemniło się, kiedy matka i syn stanęli przed chatą.

— Patrz, synku, oto cała już chata nasza, bom ją dzisiaj kupiła wraz z ogrodem od karbowego; niech on sobie idzie między ludzi, a ty mi będziesz pod bokiem.

Coś ją zlekka ukłóło, trochę się jakby zaromała, wobec jakiegoś wspomnienia, ale otarła usta fartuchem i wnet ze złością jęła kury zwoływać.

W kilka dni później skosiła łąkę dworską, a Antek zaczął ze starym Szymonem przewozić promem po Narwi.

Wdowa skoczyłaby do oczu temu, ktoby ją posądził o jakie zamiary na karbowego, ów zaś już nowe kędyś rozpoczął starania.

KONIEC.

nego, który miał się poruszać za pomocą kół, podobnych do tych, jakie są jeszcze używane do parowców rzecznych; koła te były tak zbudowane, że paletki, umieszczone na peryferyi, przybierają niejednakowe położenia podczas obrotu; najwyższa i najniższa zwracają swój przedni kraniec cokolwiek ku górze, inne, znajdujące się równocześnie na linii pionowej, przecinają powietrze na plask; wskutek lekkiego pochylenia ku górze horyzontalnych paletek, wytwarza się znaczna siła działająca ku górze, a więc podtrzymująca statek powietrzny.

Zmiany w położeniach paletek wywołuje dowcipnie pomyślany ekscentryk, który wraz z kołem obraca się na osi horyzontalnej. Pomysłu Wellnera nie wykonano jednak na dużą skalę.

Największe nadzieje, jak dotąd, rokuje aeroplan Maxima. Maszyna, zbudowana z wielkim nakładem pracy i kosztów przez angielskiego wynalazcę dział szybkostrzelnych, posiada duże rozmiary. Oprócz głównej płaszczyzny, liczącej 48 stóp ang. szerokości, ma dwa skrzydła boczne po 36 stóp długości każde, ponad niemi zaś, jak w aeroplanie Stringfellowa pięć par skrzydeł, umieszczonych jedno nad drugiem i pochylonych na 12° względem horyzontu.

Aeroplan, ażeby był praktycznym, powinien unieść co najmniej 3 podróżnych: jednego do manewrowania sterem horyzontalnym, jednego do steru prostopadłego i jednego maszynistę; waga pasażerów może stanowić zaledwie cząstkę ogólnej wagi aeroplanu. Maxim więc musiał nadać swej machinie znaczne rozmiary mianowicie: 100 stóp ang. długości, 120 stóp szerokości i 35 stóp wysokości. Całkowity ciężar aeroplanu wynosi 7000 funtów. Maxim umieścił na nim nowego pomysłu machinę parową z rurkowym kotłem, bardzo lekką, a pomimo to wytwarzającą siłę 363 koni parowych. Podług wynalazcy waga tego motoru, wraz z zapasem paliwa i wody na 10 godzin, wynosi zaledwie 14 kg., 4 w stosunku konia parowego. Dwie śruby, robiące po 40 obrotów na minutę, wywierają siłę popychającą równą 2000 funtów, która, za pośrednictwem równi pochyłych, tworzących skrzydła, przerabia się na siłę równą 10,000 funtów, dostateczną, jak widzimy, do podtrzymania aeroplanu w powietrzu. Szybkość żeglugi ma dochodzić 40 mil ang. na godzinę t. j. około 70 kilom.

Kocioł, ogrzewany gazoliną, wytwarza bardzo szybko parę, która po wykonaniu pracy w cylindrach motoru, dostaje się do sieci cienkich rurek, gdzie się skrapla pod wpływem otaczającego powietrza. Rurki te tworzą szkielet pomostu, na którym stoi kocioł i motor.

Maxim we wrześniu 1894 roku przedsięwziął próby: ustawił on aeroplan cały na wózku, biegnącym po szynach, długości 600 metrów; na przestrzeni 200 metrów ułożono kontrszyny, zapobiegające przedwczesnemu zerwaniu się przyrządu do lotu. Doświadczenie nie udało się poniekąd, gdyż górne szyny pękły pod naciskiem siły wzlotu, ale aeroplan uległ uszkodzeniom poważnym skutkiem złamania się osi. Od owego czasu, o ile nam wiadomo, Maxim nie ponowił prób.

Langley w 1896 r. i Tatin w 1897 doszedł do bardziej zachęcających wyników. Nowy aeroplan Langleya różnił się nieco od pierwotnego modelu, zbudowanego w 1894 roku.

Zbudowano go przeważnie ze stali; zresztą w skład jego wchodzą też materyały lżejsze, tak iż ciężar gatunkowy całości równa się mniej więcej jedności.

Ciężar aeroplanu, gotowego do lotu, to znaczy z zapasem wody i paliwa, wynosił 13 kg., samego zaś przyrządu 11 kg. Siąg (odległość od końca do końca) skrzydeł jedwabnych, lekko wykrzywionych, na 4 m. 27 c., długość zaś aeroplanu wynosiła 4 m. 50 c. Siły poruszającej dostarczała maszyna parowa, bardzo lekka, dająca około jednego konia parowego, a obracająca dwie śruby o średnicy 1 m. 22 c. z szybkością 1000 obrotów na minutę. Za opał służyła obrócona w parę gazolina.

Wypuszczony z wysokości 8 metrów nad Potomac aeroplan ten, jedynie pod działaniem impulsu swego motoru, wzniósł się spokojnie w powietrze i płynął naprzeciw wiatru.

Opisując w powietrzu wielką krzywą linię, maszyna latająca zbliżała się do lesistego pagórka i przeleciała nad nim, poczem opuściła się po przeciwnej stronie o 266 metrów od punktu wyruszenia. Podróż trwała 1 m. 31 sek., a przestrzeń przebyta w powietrzu wynosiła, według obliczeń p. Grahama Bella, około 900 m.

Aeroplan Richeta i Tatin'a składa się z drewnianego szkieletu zaopatrzonego w parę skrzydeł o 8 m. $^1/_2$ kwadr. powierzchni i 6 m. 60 c. siągu; oraz w ogon poziomy. W środku szkieletu mieści się mała maszyna parowa, działająca na dwie śruby. Całkowita waga aeroplanu wraz z maszyną, 3 litrami wody, 700 gramami węgla wynosi zaledwie 33 kg. Machina rozwija energię 100 kilogramometrów na sek. t. j. $1^1/_3$ konia parowego. Śruby obracają się w odwrotnych kierunkach, jedna z przodu, druga zaś z tyłu.

Rzucony po lekko nachylonych szynach z szybkością początkową 18 m., aeroplan ten, przy pomocy swych śrub w lipcu 1897 r. przeleciał kilkakrotnie w poziomym kierunku 140 m. w powietrzu, przyczem skrzydła były nachylone względem horyzontu na 2—3°. Zapobiegano podczas doświadczenia zbyt wczesnemu zerwaniu się aeroplanu przed osiągnięciem niezbędnej szybkości początkowej, przywiązując go sznurkami do ciężkiego wagoniku, staczającego się po szynach z pagórka: na końcu równi pochyłej wózek natrafił na noże, które, przecinając sznurki, uwolniły aeroplan w odpowiedniej chwili.

Trudno przyznać, że Langley i Tatin doszli do lepszych rezultatów, aniżeli Maxim; aeroplany dwóch pierwszych były niejako ptakami powietrznymi, niewiele różniącymi się od aeroplaników, poruszanych skręconym kauczukiem, podczas gdy maszyna latająca Maxima jest już dziełem poważnem—i próby z niem, jeżeli je Maxim powtórzy, mogą dać wyniki wielkiego znaczenia dla praktyki.

Niepodobna pominąć niezmiernie ciekawych prac francuskiego wynalazcy Adra. *Avion* tego aeronauty posiada stosunkowo znaczne rozmiary, jest nieporównanie cięższy od aeroplaników Langleya i Tatina. Ader, przypatrując się ptasim skrzydłom doszedł do wniosku, że przyroda ukształtowała je najodpowiedniej do przeznaczenia, tworzą one bowiem pewną zakrzywioną powierzchnię, rozwijającą się od końca ku nasadzie skrzydła.

Każde pióro oddzielnie wzięto jest podobnie zbudowano. Krzywizna ta przypomina, jak to już oddawna zauważył Pettigrew, śrubę. Ader uważa, że od formy tej przyroda nigdy nie odstępuje, a zatem trzeba ją stosować przy budowie machin latających. Ader odrzucił stanowczo płaszczyzny, używane przez Maxima, Langleya i Tatina i przyjął powierzchnię naśladującą skrzydła, stąd też avion jego jest podobny do ptaka z rozwiniętemi skrzydłami. Skrzydła nie składają się jednak z piór, szkielet ich jest zrobiony ze stali i pokryty materyą jedwabną. Dla wygody skrzydła te, podtrzymujące ciężar aeroplanu, dają się zwijać i są ruchome tylko w płaszczyźnie poziomej, a to celem przesuwania środka ciężkości przyrządu. Rolę organów ruchu odgrywają śruby, które obracają się ze znaczną szybkością i wytwarzają siłę popychającą.

Dwie śruby mają po cztery skrzydła i są umieszczone na przodzie aeroplanu. Zrobiono je z bambusu i z mocnej materyi jedwabnej; obracają się w odwrotnych kierunkach, w jednej prawie płaszczyźnie.

Wprawiający je w ruch motor parowy jest prawdziwem arcydziełem pod względem lekkości i siły. Za opał służy alkohol. Motor ma aż cztery cylindry z podwójnem rozprężeniem pary (ekspansyą). Jedna ich para działa na lewą, druga zaś na prawą śrubę. Przyrząd, wytwarzający parę t. j. generator, również zasługuje na uwagę. Nie jest to właściwie kocioł, ale system rurek, w których krąży woda i zamienia się na parę tak szybko, że w przeciągu sekundy ciśnienie podnosi się o jedną atmosferę. Machina o sile 40 koni parowych zużywa około 300 litrów wody na godzinę; ażeby więc ograniczyć do minimum ten balast, Ader zbudował kondensator, w którym odchodząca z cylindra para skrapla się nanowo i wraca do generatora w postaci płynnej. Chłodzenie pary odbywa się przy pomocy otaczającego powietrza. Jak dalece lekkim jest motor, dość powiedzieć, że jego waga wraz z generatorem i kondensatorem wynosi podobno około 3 kilogram. na konia parowego. Ponieważ każda śruba posiada oddzielny motor o dwóch cylindrach, przeto kierowanie aeroplanem nie powinno przedstawiać znacznych trudności; aeronauta reguluje obrót śrub i działa na ster przy pomocy guzików, które ma pod ręką. Pusty avion waży 568 fun. (około 200 kg.) z aeronautą zaś, wodą i paliwem 440 kg. Siąg skrzydeł wynosi 15 metrów. Avion był zbudowany pod moralną i materyalną opieką francuskiego departamentu wojennego w najgłębszej tajemnicy nad wykonaniem pierwszego pomysłu Adera, opatentowanego jeszcze w 1890 roku za № 205155; pracowano 1892—97 r., nadzór nad robotami powierzono trzem generałom i dwom członkom Akademii. Gdy wykończono avion, urządzono próby na polu ćwiczeń w Satory, w specyalnem ogrodzeniu, mającem przeszło 400 metrów średnicy, grunt w tem miejscu wyrównano jaknajstaranniej; stanowcze doświadczenie odbyło się dnia 14 października 1898 roku przy łagodnym wietrze. Ader zajął miejsce na avionie i puścił w ruch śruby; wtedy maszyna latająca zaczęła się toczyć na kółkach i wnet potem wzniosła się w powietrze wobec świadków, pomiędzy którymi znajdowali się delegowani rządu generałowie Mensier i Grillon. Avion płynął przez krótki czas łagodnie pod wiatr i próby byłyby pomyślne, gdyby nie nagło uderzenie wiatru. P. Ader, czując niespodziewany powiew wiatru, zląkł się, ażeby avion nie został porwany, zmniejszył więc jego szybkość, wskutek czego przyrząd dotknął ziemi; jedno skrzydło zawadziwszy o grunt złamało się, i aeroplan przewrócił się; śruby także się popsuły, jeden tylko motor nie uległ uszkodzeniu. Próba wykazała jednak, że: 1) motor Adera pod względem siły i lekkości odpowiada wymaganiom aeronautyki, 2) że aeroplan zdołał wznieść się w powietrze razem z akcesoryami i aeronautą.

Widzimy więc, że posiadamy już motor, zdolny dźwignąć w górę aeroplan dużych rozmiarów; dzięki rozwojowi automobilizmu, wypracowano cały szereg lekkich motorów benzynowych i naftowych, prostej konstrukcyi. Motory te są bardzo lekkie w stosunku do produkowanej energii i odznaczają się prostą budową. Najbardziej upowszechniły się motory Diona-Boutona i Daimlera.

Znalazłszy wreszcie tak upragnione motory lekkie, nie trudno będzie zastosować ich do wymagań aeronautyki. Prawdopodobnie najpierwszą maszyną latającą, jaka wzniesie się w powietrzu, wraz z ludźmi, będzie aeroplan.

Podług pułkownika Renarda, aeroplan musi być zaopatrzony w motor, ważący 10 kg. na konia parowego, ażeby naprawdę

mógł latać. Wniosek to bardzo prawdopodobny; jeżeli więc dane, odnoszące się do motoru Adera, są dokładne, to przekroczono już to minimum.

Aeroplan, jako maszyna latająca, posiada najprostszą budowę; powierzchnie podtrzymujące go w powietrzu, są nieruchome; podróżnemu nie groziłoby niebezpieczeństwo, gdyż w razie zepsucia motoru cały przyrząd opuściłby się wolno na ziemię po linii skośnej.

Doświadczenia Maxima, Tatina i Adera nauczyły nas jednak ważnej rzeczy: nie dość, jak się pokazuje, mieć silny motor i aeroplan, zdolny dźwignąć się w powietrze; trzeba jeszcze umieć manewrować nim, trzeba nadać mu formę zapewniającą równowagę podczas lotu. Widzieliśmy, że boczne i dość silne uderzenie wiatru przewróciło maszynę Maxima, a aeroplan Tatina przeleciał tylko 140 m., chociaż opału wystarczyłoby mu na podróż 5,000 metrów. Ale takie zadania można rozstrzygnąć zadawalająco jedynie w praktyce, teorya nie na wiele się tu przyda, a zresztą nie istnieje ona, jak dotąd. Zważmy jeszcze, że w atmosferze rzadko jest spokojnie, że zdarzają się w niej, oprócz zwykłych poziomych prądów, nagłe wiry, porywy, prądy wstępujące i zstępujące. Z temi zjawiskami musi liczyć się żeglarz i przystosować do nich aeroplan. Droga to mozolna i obfitująca w niespodzianki; zapewne więc nieprędko zaczniemy bujać w obłokach na aeroplanach.

Wielką usługę oddać by mogły wynalazcom badania, podobne do tych, jakie przedsiębrał Lilienthal; pożądanem byłoby więc, żeby ktoś podjął na nowo tak piękne i obiecujące doświadczenia.

W. U.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Pamiątka przełomu wieków XIX i XX. Przegląd pieśni polskich (pomysł i układ Bolesława Londyńskiego) — Mieczysław Emef: *Szał.* Warszawa, 1901. — Władysław Zalewski: *Dziad* (baśń liryczna), Warszawa, 1901. — Mieczysław Gliński: *Poezye.* Warszawa, 1901.

Na pudełkach od zapałek, na mydełkach i czekoladkach wyczytujemy niekiedy dziwnie wspaniałe napisy: *Excelsior*, słoneczny kwiat, tryumf wieku itp. Czasami dla odmiany drukuje się to na papierze, naśladującym szmatę i owija się w to sprzedawany przedmiot lub podaje się w cukierni do otarcia ust.. Taką nieszkodliwą zabawką jest „Na przełomie wieków,“ prospekt pisma obrazkowego, czy też afisz, duża płachta papieru, na czworo złamana. Na pierwszej stronie ilustracya „Pogoń za szczęściem“ z *Tygodnika*, pogoń nieszczególna, bo połączona z rozbijaniem nosów i ugniataniem innych członków. Wewnątrz — wizerunki pięciu najwyższych przedstawicieli romantyzmu (obok trójcy umieszczeni: Ujejski i Asnyk), poniżej jeszcze kilka sylwetek, a wreszcie kilko i kilkonastowierszowe urywki z 93 poetow, a wszystko „pomysłem i układem“ Bolesława Londyńskiego. Dlaczego ma być to pamiątką *przełomu*, jeśli umieszczono w niej poezye śpiewaków znanych i nieznanych od Kajetana Koźmiana aż do najnowszych? Czemu jest w „Pamiątce“ Gaszyński, niema Garczyńskiego? Jest Waśniewski, niema Wasilewskiego? Czemu Mironowski, nie Miron? Znaniecki nie Zagórski? Któż to odgadnie? Lecz i odgadywać niema potrzeby. Przecie każdy rozumie, iż w czterowierszu charakterystyka poety się nie mieści, że próżno byłoby od „Pamiątki“ oczekiwać jakichś kwalifikacyj „przełomu,“ lub dziwić się, iż nie obrazuje rozwoju pieśni naszej w ciągu stulecia: Wszak to nie literatura, to tylko niedrogi i nieszkodliwy do spożycia artykuł...

P. M. Emef ujrzał ludzkość „w obramieniu trumny“; jest ona „szara i ślepa,“ i nigdy „nie biegnie na łąki świeże, ciche, wonne.“ Nie było więc innej rady, tylko powiedzieć sobie: „wysnułem z siebie nowy świat, cudnie radosny.“ W świecie tym p. Emef wchłania w siebie „woń kwiatów z tęczy i *jedwabiu*“ (istotnie, nowy świat!). Ale, niestety, „choć od ludzi odgrodzę się mych światów szańcem, zawsze będę od wyżyn *dalszy, niż daleki*.“ Wobec tak smutnego wyniku owłada poetą tęsknota. „Wkrąg Chaos i Milczenie, krwi zastygłej rzeki“; „runął gmach mojej duszy, olbrzymie wiązadła zagrzebane w pustynnym *żaro-szarym* piasku...“ Ba, jak widzimy, Tetmajer zyskał bardzo niebezpiecznego współzawodnika w p. Emef. „Wbiec tam! na górskie szczyty w śpiewny dnia poranek... to cel mój, to najświętszy mej pieśni kochanek!“ Czyli krócej: wbiedz na szczyty — to kochanek. „Tam martwe głazy skalne do moich nóg nagnę.“ Nie udały się te śmiałe zapędy! „Straciłem ster mój i rzuciłem wiosła, płynę we wszystkich żył moich tętcie.“ O, dawnośmy już to spostrzegli! I tak zapłynął, znowu po tetmajerowsku, aż na „pustkę.“ Tam tak się zapatrzył w „dni rozczołgane,“ które „mrok opajęczył,“ tak go oczarowały „oddalone bezkresnych słońc kraje,“ że „pył, brud, ohyda życia ugrzęzły mu w krtani.“

Nietylko w wizyach, nietylko w wędrówkach po mistycznych łąkach, „gdzie wkrąg Chaos i Milczenie,“ ma Tetmajer w p. Emef towarzysza, lecz i w zaciszach owych, kędy się wypija słodycz z kobiety. „Zbliż się swem tchnieniem (tymczasem dość platonicznie!), bo masz boskie tony w kształcie dziewiczym... Okręć się wężem wkrąg mojego ciała... wtul się (to już Przybyszewski!) w me ciało rękami drżącemi... okręć mi szyję i — zanuć pieśń złotą (cóż to znów za fantazya?) — wówczas odżyję w *szeptach twych ramion*.“

Śmiesznie by to wyglądało, gdybyśmy poważnie chcieli przedstawiać p. Emef, że natchnieniom jego brak treści, albo i zgoła zwykłego sensu. Jego „szał,“ to nie poezya, to nie żaden „szał“ nawet; to poprostu przerzucanie z ręki do ręki barwnych szkiełek używanej dziś frazeologii. Nabytek to widocznie świeży, tak wielkiem bowiem uradowaniem napełnia on serce autora, z taką lubością przygląda się mieniącym się skrom błyskotek — i oto dlaczego łączy wyrazy w sposób całkiem bezmyślny: „szepty ramion,“ „obłoczne kolana,“ które lęk „tnie i zgina,“ „bezkreśne słońca,“ „ugrzązł w krtani“ jako współznacznik zapomnienia, czy też znikania z oczu w powietrznej *sini*“ itd. Jeżeli p. Emef w wolnych od tworzenia chwilach odbędzie szereg konferencyj z profesorem gramatyki i stylistyki, może nie narazi wówczas sprawozdawcy na urągliwe przezwisko Heroda.

Wobec p. Emef Władysław Zalewski jest już prawdziwym potentatem, jakkolwiek mocarz to o powierzchowności skromnej i głosie bardzo nieśmiałym. Po dawnemu, jak w poprzednich dwu zbiorkach, wynuca „ciche pieśni“ miłosne w słowach rzewnych i melodyjnych. Świeżo wydana „baśń liryczna,“ to młodzieńcza sielanka o bardzo mglistych zarysach; w sielankę tę wpleciona jest postać „dziada,“ któremu kochanka poety wydała się jakby sobowtórem jego własnej, oddawna już spoczywającej w ziemi. Nie dość, że „dziad“ ów wpadł tu, jak Piłat w „Credo,“ lecz nadto autor poczytuje sobie za obowiązek odmieniać go w każdym urywku przez wszystkie przypadki. Wogóle, niemałe psoty wyrządza staruszek p. Zalewskiemu. Jego uskrzydlona (?) postać *spływa na* poetę, chód jego ma w sobie nietylko cichość, lecz i łzy itp. Rym i rytm również są szkodnikami, stają bowiem na zawadzie dobremu porozumieniu autora z gramatyką. Mgły *oblokły* dwoje kochanków „*w jakiejś* przezrocza cudownego *szacie*,“ rym do *postaci*. „Nawet te mgiełki, co się nad lustrzaną taflą jeziora w zadumaniu wloką, tyle cichości nie mają i tyle łez — w uroczystym tego dziada chodzie.“ Od czegóż domyślność słuchacza! A w wierszu stanowczo ani jedno już słówko się nie zmieści... Lecz kiedy autor obiecuje wiarę „aż do trumiennej, co żyć będzie (?), deski,“ — czy to miara wierszowa zawiniła? I czy to rym bałamuci, kiedy duszę poety „w błękit bierze woń jakaś z *sosen* płynąca — *jaśminu*“? Pomimo to wszystko, jeżeli porównamy „Dziada“ z dawniejszymi utworami p. W. Zalewskiego, dostrzeżemy pewien postęp. Nikłe są jego pomysły i wyobraźnia niezbyt zasobna; umie przecież niekiedy wydobyć ze swej lutni nutę czystą, acz niezbyt głośną. Gdybyż się jeszcze uporał ze stylistyką i składnią!

Zaledwie zdążyliśmy rzucić spojrzenie na pierwszą kartkę zbiorku p. M. Glińskiego, uczuwamy dlań sympatyę, a uczucie to stale nam towarzyszy, gdy bliżej się poznajemy z młodym poetą. O charakterze jego pieśni dają nam pojęcie odrazu pierwsze entuzyastyczne zwrotki: „Szumem fal sinych morze nas wzywa, jasność słoneczna do stóp nam spływa. Rozwińmy żagle! Niech naszej łodzi samo ogniste słońce przewodzi! Dla nas się przyszłość w jasność ubiera, pragnienie życia pierś nam rozpiera, a dusza, w dziwnym tonąc zachwycie, pragnie się nawskroś przejrzeć w błękicie! Na morze, bracia! na morze, dalej! Ogień młodości serca nam pali, widma zwycięstwa mózgi nam palą—szalonych pragnień popłyniem falą!“ („Żeglarze“). Brzmiąca tu nuta młodzieńczej ufności w swe siły, zapału, rozpędu, jest najwydatniejszem, jest niemal wyłącznem znamieniem poezyi p. M. Glińskiego. Przeciągają wprawdzie lekkie chmurki po wiosennem niebie, odzywają się grzmoty, niekiedy z warczeniem piorun wypada, ale to wszystko na zmianę ogólnego kolorytu nie oddziaływa. W maju weselszy po burzy dzień, tęcza jakby świeżo w rosach wykąpana, roześmiana ziemia radośniej oddycha... A choćby prawdą było, że wszelka radość wreszcie ciężką i gorzką łzą zgryzoty spłynąć miała, to cóż? „Lepiejż sercu, co nie miało snów kwiecistych, nie kochało, bo sen pierzchnie, miłość zrani? lepiej-ż żyjąc bez tętn bicia mieć boleściom dni nieznane, czy zobaczyć sny rozwiane, lecz po życiu pełnem życia?“ Uczucie takie zapewne zbudziło się w poecie samoistnie, lecz jeżeli nie na uczucie, to na jego wyraz, czy nie wpłynął Asnyk? Nie jedyny to raz zresztą imię to drży nam na wargach. Gdy np. książę potępionych rozsyła swe duchy, a ich rój „do sennych zakrada się strzech... a gdzie wejdzie, tam nie pieśń, nie śmiech, ale czarna wstępuje zgryzota“ i t. d.—przypomina się nam zaraz „Wierzba na pustkowiu.“ Nie z El..ego przecież są takie oto reminiscencye: „Patrz na błękit i nocną idź porą, a gwiazdy ukażą ci stronę, gdzie wód jest przezroczych jezioro, oprawne w skalistą koronę. Tam nieba sięgają gór szczyty... i dwa tam zobaczysz błękity, bo w górze jest błękit i w dole“ i t. d., aż do głosów, wydobywających się z topieli. Czyż trzeba przytaczać równoległe ustępy „Świtezi?“ Zapatrzenie się na Mickiewicza ujmy młodemu poecie nie czyni; jest atoli inna okoliczność, która zniewala położyć przy jego imieniu znak zapytania, mimo całej dla niego sympatyi. W wierszach jego czuć jeszcze niezużyte pragnienie życia. Istnieje niewątpliwie poezya w pierwszem rozchylaniu się kielicha kwiatu pod pieszczotnem dotknięciem promienia słonecznego, lecz

jest to dopiero „nastrój;" jest to pragnienie życia wogóle, nie działalność, posiadająca wytknięte cele, jest to wrzenie uczuć, pozbawionych jeszcze stałej osi. Otóż ponad „nastrój" niczego się chyba w poezyi p. M. Glińskiego nie dopatrzymy. Jego gorąca zachęta, „Żeglarzom" rzucona na bój z falami—to tylko konieczność wydatkowania energii, to zapowiedź walki dla samej walki. A cóż dalej? czy tylko poczucie tryumfu, poczucie swej siły? I czy zasoby tej siły, promieniejącej wokół bezinteresownie, starczą na długo? Życie wchłania w siebie i zużywa nadmiar żywotności... Czy otrzymamy jaki równoważnik? Nie mniejsze budzą się w nas wątpliwości, gdy myślimy o artystycznych środkach poety, jakkolwiek wbrew zwyczajowi panującemu wśród najmłodszych z najmłodszych, wystąpił odrazu niemal w zupełnem uzbrojeniu i formie jego niewiele dałoby się zarzucić. Tylko w budowie całości dostrzeżemy pewne nieumiarkowanie swady retorycznej. Zajrzyjmy raz jeszcze do „Żeglarzy." „Pragnienie życia pierś nam rozpiera," a w następnej zwrotce: „ogień młodości serce nam pali." I czy nie jest to to samo, co wyżej? Po za tem zdarzy się tu i owdzie jakiś niezręczny zwrot, niewłaściwie użyty wyraz, świadczący o niezupełnem wyrobieniu języka i wycieniowaniu myśli. Patrzymy na krajobraz zimowy: „Wśród tych zaspów szeregu *strach*—jak pusto, jak biało." Gdzieindziej „zawrzało życie wokoło, *odrzekło* milion ech." Trochę komiczne wrażenie wywiera „książę potępionych," który, namarszczywszy czoło groźnie, woła na podwładnych duchów, by się żwawo zwijali, „bom nie przywykł powtarzać dwa razy." A jeszcze gdzieś fale „chłonią" blaski, by podeprzeć rym „dłonią." Usterkom takim wszakże nie przypisujemy większego znaczenia. Naogół dykcya jest bardzo łatwa, wiersz toczy się wartko, a nawet zaznaczony powyżej rozmach retoryczny, acz zbyteczny często, jest jakby tylko wypływem kipiącej energii, z której pieśń właśnie wytrysnęła.

Z układem zwrotkowym autor radzi sobie bez przymusu, nie może się uskarżać na ubóstwo językowe. Ale... otóż i jest ale. Podobnie jak pomysły jego nie są zbyt urozmaicone i samoistne, tak też obrazy jego, często ładne, nie wytwarzają oryginalnych efektów. Wiersz dźwięczny, to prawda, lecz swoistej melodyi w sobie nie ukrywa. Oto dlaczego, zamykając książkę młodego autora, rozstajemy się z nim z miłem wprawdzie uczuciem, lecz zarazem w niepewności, czem jest i czem się stanie.

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Al. Janowski: *Wycieczki po kraju.* Serya trzecia (Nowo - Aleksandya, Kazimierz, Janowiec, Nałęczów) Warszawa, nakład autora, r. 1901. str. 112.

„Smutną jest rzeczą wiedzieć, co wydaje Afryka, a nie wiedzieć, co się na własnej ziemi znajduje." Pod tem hasłem, zapożyczonem od Tadeusza Czackiego, p Al Janowski doprowadza w dalszym ciągu do skutku swe postanowienie zapoznania inteligencyi naszej z krajem własnym i skierowania zwykłych letnich wycieczek turystycznych do różnych jego pięknych zakątków. W dwóch pierwszych seryach swych barwnie i zajmująco pisanych „Wycieczek po kraju" dał opis: Kielc, Chęcin, Św. Krzyża, Bodzentyna, Wąchocka, Iłży, Radomia, Opatowa, Ujazdu, Klimontowa, Ossolina i Sandomierza. Obecnie kieruje on nasze kroki do okolic, którym, jak sam twierdzi, pod względem malowniczości trzeba przyznać pierwszeństwo przed innemi w kraju. „Nigdzie nie znajdziemy tak pięknych wzgórz, jak pod Kazimierzem, ani drzew tak wspaniałych, jak na szosie za Włostowicami, ani ruin tak okazałych, jak Janowieckie, ani doliny tak uroczej, jak Bochotnicka."

Wycieczka, proponowana przezeń, jest istotnie nietrudna do uskutecznienia i nader przyjemna, a jego ładnie wydana książeczka nie poprzestaje bynajmniej na suchych baedeckerowskich informacyach, autor umie odnaleźć i wskazać w opisywanych miejscowościach istotne piękno, rzucić okiem na ich przeszłość historyczną i zachęcić czytelnika do ich poznania. Najwięcej miejsca zabierają autorowi prześliczne okolice Kazimierza, sam opis miasta, jego przeszłość historyczna i zabytki, które nam przekazała. W gorących słowach zwraca on między innemi uwagę na upadek trzech pięknych renesansowych domów, którychby nam mogły pozazdrościć najpiękniejsze miasta Europy. „Paru przymierających z głodu nędzarzy marnie wegetuje za tą rzeźbioną ścianą, wlokąc swe powolne konanie." Podtrzymanie tego cennego zabytku architektury odrodzenia, tej włoskiej latorośli pod surowem niebem północy, jest taką nagłą potrzebą, że nie można czekać na sklejenie się nareszcie, tak dawno projektowanego Towarzystwa archeologicznego, lecz należy kołatać do prywatnej kieszeni zamiłowanego w tem amatora." Autor z pewnym optymizmem przypusza, że taki znaleźć się powinien.

Mniej optymistycznemi wydają się nam przypuszczenia p. Janowskiego co do świetnej przyszłości Kazimierza, jako siedziby letniej. Szkoda, że brak ducha inicyatywy i przedsiębiorczości wśród mieszkańców osady i właścicieli gruntów okolicznych każe czekać na urzeczywistnienie tych przewidywań, aż do zawiązania się jakiejś spółki czy Towarzystwa i zakupienia przez nie wzgórz nadwiślańskich w pobliżu starożytnego grodu.

Wiele ciekawych szczegółów mamy również w opisie Janowca, a całość przewodnika sprawia naogół wrażenie bardzo dodatnie i naprawdę zachęciłby powinna młodzież, do poszukania, po wyczerpującej pracy całego roku, owej wiązanki-wrażeń ożywczych, które dać może podróż po kraju rodzinnym, „zanim zimny wiatr walki o chleb powszedni zwarzy motyle skrzydła jej czystej i szlachetnej duszy..."

Przypuszczać należy, iż serya dziełek w rodzaju powyższego, do której wejśćby jeszcze powinny opisy Kalisza, Lublina, Ojcowa i jego okolic, Płocka i paru innych, dostarczy autorowi materału do treściwego, niedrogiego, a tak pożądanego przewodnika po całem Królestwie.

Wł. B.

SPRAWY EKONOMICZNE.

HANDEL DETALICZNY.

II.

W dziedzinie produkcyi jesteśmy świadkami przewrotów bezustannych, których pobudką jest rozwój techniki maszynowej i zogniskowania kapitalistycznego. W dziedzinie natomiast handlu, a zwłaszcza detalicznego, przewrót odbywa się mniej wyraźnie i dlatego nie ściąga na siebie uwagi szerszej publiczności. Nie ulega wszakże kwestyi, że i tu odbywają się stopniowo nader doniosłe zmiany. Schematyzując możemy powiedzieć, że zachodzą tu dwa zjawiska: 1) kapitalistyczne dążności przekształcają dawne formy handlu, 2) istnieje dążność do usunięcia kupca detalisty, jako pośrednika pomiędzy wytwórcą a spożywcą, przez zrzeszenie spożywców. Dla zrozumienia pierwszego z tych zjawisk należy przypomnieć rolę, jaką odegrał kapitał handlowy przy powstawaniu nowożytnej, kapitalitalistycznej, formy produkcyi. Kupcy to mianowicie zadali pierwsze ciosy produkcyi rzemieślniczej. Wskutek wzrastającego handlu szranki cechowe stawały się coraz dotkliwszemi i to dało pobudkę do zakładania „manufaktur." Kupiec np. handlujący suknem otwiera po za miastem, w miejscowości, gdzie nie obowiązują przepisy cechowe, zakład sukienniczy; ma on bowiem wtedy możność zatrudniać tu dowolną liczbę tkaczy, podczas gdy w mieście majster cechowy podlega pod tym względem rygorowi cechu; ma też możność połączyć w jednym zakładzie warsztaty tkackie, folusze, farbiernie i t. d., a to jest niezbędnem dla produkcyi masowej, jakiej się domagają nowowytworzone warunki handlu. Taka produkcya wymagała też znacznego zasobu kapitału, a rzemieślnik cechowy w czasie powstawania tych manufaktur mógł żyć dostatnio lecz kapitałami, pieniędzmi, które można było zastosować w produkcyi, nie rozporządzał; posiadał je natomiast kupiec-hurtownik oraz finansista starej daty, lichwiarz, dzierżawca ceł i poborów rożnych. Kupiec tedy staje się przedsiębiorcą przemysłowym. Z owej „manufaktury" pod koniec wieku XVIII i na początku XIX powstaje fabryka wskutek wprowadzenia do procesu produkcyi motoru oraz maszyny narzędziowej. W miarę wzrostu sił produkcyjnych, do jakich doprowadza ta wytwórczość, oparta na kapitalizmie i zastosowaniu maszyny, zmienia się stosunek. Przedtem handel domagał się rozszerzenia produkcyi. Kupiec, aby zaspokoić potrzeby rynku, dobijał się o towar, zrewolucyonizował produkcyę; teraz zaś produkcya wzrasta tak szybko, że wytwórca zaczyna się uganiać za kupcem, któryby umożliwił odbyt towaru. Dawniej jeden kupiec skupywał towar całego szeregu wytwórców, w końcu sam zostawał wytwórcą-manufakturzystą; teraz wielki zakład fabryczny zbywa swój towar całemu szeregowi kupców-hurtowników; dawniej kupiec, mając na oku pewien rynek zbytu, poszukiwał wytwórców po świecie, teraz fabrykant ma przed sobą rynek wszechświatowy i poszukuje kupców, którzyby mu umożliwili zbyt towarów na tym rynku.*)

Produkcya wielkokapitalistyczna najpierw opanowywa tę dziedzinę wytwarzarzania, która dostarcza towarów niesłużących do bezpośredniego użytku i dlatego wspomniany przewrot w stosunkach pomiędzy wytwórcą a kupcem dotyczy też przedewszystkiem handlu hurtownego, handel zaś detaliczny nie odczuwa jeszcze tych zmian. Po dawnemu bowiem kupiec hurtowy dostarcza towarów gotowych detalistom, a pół-fabrykatów rzemieślnikom, oraz drobnym zakładom przemysłowym, które przerabiają je na przedmioty bezpośredniego użytku i sprzedają detalistom. Dopiero w ostatniej fazie rozwoju ekonomicznego, mniej więcej w ostatnich trzech dziesięcioleciach, wielkie przedsiębiorstwo wkracza w dziedzinę wytwarzania tych przedmiotów bezpośredniego użytku, a to musi odbić się dotkliwie na handlu detalicznym. Weźmy przykład: Garbarstwo już od lat 100 blizko jest gałęzią wielkiego przemysłu, wyroby skórzane jednak były wykończane w zakładach rzemieślniczych-szewskich, rękawicznych, siodlarskich. Garbarnia tedy miała do czynienia z kupcami - hurtownikami, od których szewc, rękawicznik, siodlarz nabywali skóry wyprawione. Ci zaś rzemieślnicy albo sprzedawali swój wyrób w sklepach własnych, albo też mieli do czynienia z kilku detalistami, którym sprzedawali swe wyroby. Dzisiaj zaś powstały fabryki obuwia, rękawiczek, wyrobów siodlarskich, przyczem każda z tych fabryk zakłada nie jeden sklep, lecz w większem mieście kilka, a zarazem

*) Patrz: K. Marx: *Das Kapital*, tom III, rozdział 20, *Geschichtliches über das Kaufmannskapital.*

zakłada „filie“ w różnych miastach. „Tak samo powstaje „sklep fabryczny“ bielizny, lamp, naczyń kuchennych i t. p. To też niepodobna nie dostrzedz w wielkich miastach Zachodu charakterystycznego zjawiska, powstawania tego rodzaju sklepów, różniących się tem, że sprzedają tylko jeden rodzaj towarów. Przykład zaś już zdziałał, że powstają również sklepy „specyalne,“ prowadzone już przez kupców, t. j. kupiec-detalista poprzestaje na sprzedaży jednego tylko gatunku towarów. Zachodzi więc specyalizacya, społeczny podział pracy przy handlu detalicznym. Najlepiej uprzytomnimy sobie zmianę zachodzącą tam, jeżeli przypomnimy n. p. dawnej daty sklep wyrobów metalowych, jaki dziś w większych miastach zanikł już niemal zupełnie, a zachował się jeszcze na prowincyi. W takim sklepie można było dostać wszelkich wyrobów metalowych, zaczynając od młockarni, a kończąc na gwoździach, od żelaza w sztabach do statuetki z bronzu. Dzisiaj, chcąc nabyć młockarnię, udajemy się do składu maszyn rolniczych, maszynę zaś do szycia nabywamy w innym sklepie, a jeszcze w innym rower; tak samo udamy się po lampę do sklepu specyalnego i ani nam się śni szukać statuetki tam; gdzie sprzedają gwoździe. To samo widzimy w wielu innych gałęziach handlu, np. specyalne sklepy nici, przyborów krawieckich, bielizny, ubrań męskich i kobiecych, materyałów piśmiennych (dawniej połączone z księgarniami), obić, dywanów i t. d.

Z innych nieco przyczyn wynikło też różniczkowanie w handlu towarami, które nie są wyrobem fabrycznym. A więc specyalne sklepy do sprzedaży ryb, mleczarnie, owocarnie, kwiaciarnie, sklepy z cukierkami i t. p. To samo się dzieje z tak zwanymi „towarami kolonialnymi.“ Powstały n. p. specyalne sklepy herbaty, a na Zachodzie kawy, sklepy do wyłącznej sprzedaży cygar i t. p. Mamy tu do czynienia z nową praktyką importu, który ruguje hurtownika i detalistę zagarniając zysk, jaki im przypadł w udziale.

Z drugiej znów strony zauważyć się daje dążność odwrotna: łączenie w jednym sklepie towarów, które dawniej były sprzedawane w sklepach różnych. Tak np. powstały sklepy z „konfekcyą męską,“ w których sprzedaje się wszystko, co należy do garderoby męskiej: ubranie, bieliznę, obuwie, rękawiczki, krawaty, kapelusze, dewizki, spinki, laski, parasole itp. To samo składy „delikatesów,“ w których sprzedaje się wszystko, co należy do wykwintnego obiadu, bez względu na pochodzenie towarów, a więc ryby i zwierzynę, nowalie ogrodnicze, owoce zagraniczne, sery, masła, likiery i cygara. Tu więc kupiec-detalista stara się zgromadzić wszystko, co jest niezbędne dla zaspokojenia potrzeb pewnej kategoryi nabywców w danym zakresie.

Krokiem dalszym jeszcze były opisywane tak często „wielkie magazyny,“ sklepy, w których jak w dawnym sklepiku „dostanie wszystkiego,“ z tą tylko różnicą, że detalista - milioner zagarnia tu zyski niejednokrotnie potrójne, bo zysk, jaki przypada na detalistę-hurtownika oraz na przedsiębiorcę-wytwórcę, gdyż częstokroć te wielkie magazyny posiadają własne fabryki i warsztaty.

Te nowe formy organizacyi handlu musiały oczywiście odbić się dotkliwie na dotychczasowych przedsiębiorcach tej kategoryi. Przedewszystkiem bowiem mnóstwo kupców starej daty, nieumiejących i niemogących zastosować się do nowych prądów, uległo w walce konkurencyjnej. Jak zawsze, przewrót ekonomiczny odbył się kosztem istnień pojedynczych. Lecz jednocześnie ten przewrot wywołał zmiany stosunków ogólnych, dotyczących podstaw ekonomicznych całego handlu detalicznego, nawet tam, gdzie jeszcze nie przyjęły się nowe, że tak powiemy — techniczne urządzenia handlu, owe sklepy fabryczne, specyalne i wielkie magazyny. Chodzi mianowicie o to, że pogoń fabrykanta za nabywcą, spożywcą bezpośrednim wytworzyła specyalne stosunki kredytowe. Profesor Sombart w rozprawie o handlu detalicznym, odczytanej na zebraniu Towarzystwa ekonomistów niemieckich we Wrocławiu, zaznacza to zjawisko, lecz nie może dopatrzyć się, czem handel detaliczny naszych czasów różni się od dawnego „commerce solide.“ Otóż różnica istnieje. Nie pod tym względem, aby dawniejszy kupiec był skrupulatniejszym w stosunku do swej klienteli, aby był „solidniejszym“ w znaczeniu tem, że trzymał się ściślej zasad rzetelności, lecz był bardziej „solidnym“ w znaczeniu czysto kupieckiem, to jest przedsiębiorstwo jego stało na trwałych, pewnych podstawach, gdyż było dobrze umocowane bitymi talarami i dukatami. Taki kupiec - detalista dawnej daty nietylko udzielał kredytu swojej klienteli, ale często był wierzycielem nawet hurtownika i fabrykanta, prawie zawsze płacił gotówką za towar, a o komornem niema nawet co wspominać, gdyż właściciel sklepu porządnego był zawsze właścicielem domu. I otóż ta właśnie „solidność“ prysła. Dziś detalista zazwyczaj bierze wszystko na kredyt, co mu przychodzi łatwo, gdyż agenci różnych fabryk i zakładów hurtowych wprost nachodzą go, dając ile chce towaru, byle zechciał przyjąć. To też powstają w handlu detalicznym przedsiębiorstwa, pozbawione wszelkich podstaw, gdyż zasób kapitału nie pozostaje w żadnym stosunku do obrotów handlowych. Skutek zaś jest ten, że garnie się do tego procederu mnóstwo osób, współzawodnictwo staje się nad miarę ożywione, a stąd znów wynika skutek dalszy, że te przedsiębiorstwa giną jeszcze prędzej, niż powstają. W żadnej gałęzi przedsiębiorstw liczba upadłości nie jest tak wielką, jak w handlu detalicznym. O ile więc zwolennicy „dawnych dobrych czasów“ mają na względzie to zjawisko, przeciwstawiając współczesne stosunki dawnemu „solidnemu handlowi,“ trzeba im przyznać bezwarunkowo słuszność. Jeżeli zaś zwolennicy liberalizmu ekonomicznego zechcą stosować tu argument, według którego każde współzawodnictwo jest pożądane, gdyż skutkiem jego jest zniżenie cen towarów, to argument ten w danym razie nic może się ostać. Współzawodnictwo pobudza do zniżenia kosztów tam, gdzie to jest możliwe wskutek zastosowania ulepszeń przy wytwarzaniu, lub wskutek wyzyskania konjunktur, ku czemu ma możność fabrykant i kupiec - hurtownik lub importer; w handlu zaś detalicznym o tem niema mowy. Wogóle kupiec - detalista najmniej ma wpływu na cenę towaru, którą oznacza przedewszystkiem wytwórca, detalista zaś może tu conajwyżej zniżać cenę, poprzestając na mniejszym zysku. Tymczasem właśnie współzawodnicy niezasobni w kapitał, pochopni do zakładania nowych przedsiębiorstw, nie mogą się zadawalać mniejszym zyskiem, gdyż kupując z konieczności na kredyt, muszą przecie kredyt ten opłacać. W danym wypadku ze współzawodnictwa przedsiębiorców korzystają bynajmniej nie spożywcy. Znaczne sumy, jakie rok rocznie tracą ci mało zasobni przedsiębiorcy-detaliści, są stratą jawną dla gospodarstwa społecznego. Korzyści zaś z takiego stanu rzeczy ciągną tylko — właściciele domów. Komorne ze sklepów bezustannie i szybko wzrasta w wielkich miastach; straty detalistów wsiąkają w rentę gruntową, pobieraną przez kamieniczników i spekulantów, prowadzących handel placami.

O tyle tylko wynikają społeczne korzyści z tych nowych form, do jakich kapitalizm doprowadza handel detaliczny, o ile z nimi jest złączone obniżenie kosztów handlu pośredniczącego. Koszty te bowiem istotnie są nieprodukcyjnym wydatkiem, a przytem wydatkiem ogromnym. Zależnie od rodzaju towaru, spożywcy opłacają w handlu detalicznym cenę 20 — 50% wyższą od tej, po jakiej sprzedać może wytwórca, a ta nadwyżka konieczna, z powodu pierwotnych form handlu detalicznego, stanowczo jest za wysoką.

Czy więc współubieganie się wytwórców kapitalistycznych o spożywcę bezpośredniego spowodowało zniżenie tych kosztów nieprodukcyjnych? Do pewnego stopnia—tak. Zarówno specyalizacya—sklepy fabryczne i wyłączne, jak skupienie — wielkie magazyny—pozwalają na zaoszczędzenie pracy. Zmniejsza się stosunkowo personel w sklepach, administracya staje się prostszą. Lecz zdaje się, że to, co w ten sposób może być zaoszczędzone, pochłania znów reklama, która przybrała niebywałe rozmiary. Sarkają na nią dziś nadto może. Przybiera ona częstokroć formy rażąco nieestetyczne, to prawda, ale też zawdzięczamy jej z drugiej strony ozdobę naszych miast — wspaniałe sklepy. Lecz przyznać należy, że jeżeli na tem polega cała korzyść spożywców z przewrotu kapitalistycznego w handlu detalicznym, to trochę zamało. Jednakże płyną stąd korzyści inne jeszcze: Współubieganie się o spożywcę, wszystkie owe sztuczki reklamowe, mają w ostateczności ten skutek, że wzbudzają wśród mas nowe potrzeby, nowe pragnienia, a tego czynnika lekceważyć nie należy: powstawanie nowych pożądań było zawsze bodźcem postępu. Niech pożądania, jakie budzi kapitalizm, wkraczający w sferę handlu detalicznego, będą „marne i poziome,“ niech będzie to „żądza blichtru,“ przecież doprowadzają one do tego, że wyrabiają się w masach, chociaż tą drogą poboczną, potrzeby kulturalne. Żądza blichtru doprowadza w dalszym rozwoju do potrzeby komfortu, komfort już dalej jest objawem pragnienia wyższego stopnia, prawdziwej kultury.

Dr. J. B. Marchlewski.

KRONIKA.

Prasa. W Zakopanem ma wyjść wkrótce wydawnictwo p. t. *Jednodniówka zakopiańska*, z którego dochód przeznaczono na rzecz niezamożnych studentów, dotkniętych chorobą piersiową. Redakcyę objął Piotr Chmielowski.

Kongres. W Londynie przy licznym zjeździe najpierwszych powag ze świata lekarskiego Europy odbył się kongres przeciwtuberkuliczny. Między referatami największe wzbudził zajęcie prof. Kocha z Berlina, który odrzuca przewagę możności przeniesienia gruźlicy ze zwierząt na ludzi za pośrednictwem mięsa i mleka. Dowodzenie swoje opiera na podstawie dwuletnich badań i doświadczeń, lecz lekarze angielscy utrzymują, że i tym razem Koch zbyt się pospieszył z przedstawieniem jako pewnika tego, co jest jeszcze hipotezą.

Podróże. D. 17 lipca z Tromsö wyruszyła pod kierunkiem Evelyna Baldwina nowa wyprawa pod biegun północny. Celem wyprawy są obserwacye astronomiczne, meteorologiczne, magnetyczne, pomiary głębi wód i dokładny opis kartograficzny. Wyprawę, w której bierze udział sześciu uczonych, zaopatrzono we wszelkie najnowsze wynalazki i pomoce w tym kierunku. Baldwin ma nadzieję dotrzeć do samego bieguna.

Wiadomości społeczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę powstającego w Petersburgu Towarzystwa kredytowego dla wydawców i osób związanych ze sprawami druku.

— W Wiedniu utworzył się klub rozdawania chleba ubogim podczas zimy.

Hygiena. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło normalną ustawę gubernialnych zjazdów członków i przedstawicieli instytucyj lekarsko-sa-

nitarnych. Ustawa ma na celu uproszczenie formalności, wymaganych przy wyjednywaniu pozwoleń na zjazdy i uniknienie utrudniającej korespondencyi w tej sprawie. Odtąd pozwolenia wydawane będą przez gubernatorów miejscowych.

Z uniwersytetu. Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora okręgu naukowego warszawskiego, że rozporządzenie zmarłego ministra Bogolepowa. dotyczące wstępowania do uniwersytetów wychowańców zakładów średnich różnych okręgów naukowych, obowiązuje i nadal.

Szkoły. Kurator warszawskiego okręgu naukowego polecił dyrektorom średnich zakładów naukowych dokonać odpowiedniej zmiany w rozkładzie lekcyj na rozpoczynający się rok szkolny, stosownie do rozszerzonego programu wykładów. Jednocześnie kierownikom zakładów naukowych polecono przedstawić swoje opinie o tem, czy można będzie pokryć zwiększone skutkiem rozszerzonego programu wydatki z wyznaczanych dotąd sum na utrzymanie danego zakładu, a jeżeli potrzeba będzie sumę tę powiększyć, to o ile mianowicie. Po za tem dyrektorowie zakładów naukowych zobowiązani zostali do przedstawienia wykazu nauczycieli języków starożytnych, którzy mają być pozostawieni po za etatem, lub też którym ma być powierzony wykład innych przedmiotów.

Konkurs. Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem przypomina, że w marcu r. b. ogłoszony był przez Zarząd Cesarskich zakładów porcelany i szkła doroczny konkurs rysunków artystycznych, podług których mogłyby być wykonywane przedmioty z porcelany i szkła. Główne warunki konkursu są: Rysunki wyobrażać winny przedmioty wysokości nie mniej, niż 12 werszków z wykończeniem akwarelowem. Prace konkursowe mają być przedstawione do Zarządu Cesarskich zakładów do 1 listopada, opatrzone godłem z dołączeniem zapieczętowanej koperty pod takimże tytułem, w której znajdować się winna deklaracya z opisem rysunku, imieniem, nazwiskiem i adresem autora. Wyznaczono 3 nagrody za najlepsze rysunki: 500, 300 i 200 rubli. Szczegółowe warunki można przejrzeć w kancelaryi Towarzystwa.

Ulgi taryfowe dla uczniów. Dotychczas młodzież szkolna przy przejeździe kolejami korzystała z ulgi w postaci rabatu: przy przejeździe 70 do 140 wiorst — 50 kop. i w promieniu od 140 do 900 w. — 1 rb. Komitet taryfowy, obradujący w tej sprawie w Petersburgu, w uznaniu pożytku, jaki młodzież odnosi z wycieczek, zaprojektował, oprócz ulgi powyższej, przyznać młodzieży jeszcze inne, mianowicie, ażeby zakłady naukowe niższe, zarówno rządowe, jak i prywatne, miały prawo przewozić swych uczniów bezpłatnie w promieniu 50 wiorst i ażeby młodzież z zakładów naukowych średnich i wyższych przy wycieczkach do 2,000 wiorst, pod dozorem wychowawców, korzystała ze zniżonej o $^{3}/_{4}$ opłaty za przejazd. Spis zakładów naukowych średnich i wyższych, których uczniowie będą mogli z tej ulgi korzystać, ma być ogłoszony w zbiorze praw.

Statystyka Według spisu z d. 9 lutego 1901 r. Włochy posiadają 32,460.000 mieszkańców — o 4 miliony więcej, niż w r. 1881 i dwa razy tyle, co w r. 1750-ym.

Stypendyum. Inżenier Henryk Święcicki ofiarował 6,000 rb. na utworzenie w politechnice warszawskiej stypendyum jego imienia dla studentów wyznania rzymsko-katolickiego, urodzonych w gub. Mińskiej lub Grodzieńskiej.

Zmarli. Emeryk Stadion, poeta, powieściopisarz i dramaturg, w Wiedniu, w 64 roku życia.

— Jan Nordenfolk, prezes Akademii sztuk wyzwolonych w Sztokholmie.

— Hilga Ram, wybitna poetka flamandzka, w Antwerpii.

— Stefan Ussi, jeden z głośniejszych malarzy włoskich.

— Krügerowa, żona b. prezydenta Transwalu w Pretoryi.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. H. H. W tej sprawie najlepiej objaśni Panią redakcya *Zdrowia* (Kancelarya Tow. hyg., Krak. Przedm. 66).

P. Z. G. Kartę Pani, mylnie zaadresowaną na ul. Ogrodową, odebraliśmy w tych dniach. — P. K. K. jest obecnie w Galicyi: Tarnów, ul. Lipowa, dom ks. Zygulińskiego.

Pani S. Z. w Paryżu. Gramatyka wysłana.

OFIARY.

Henryk Kamieński dla najbiedniejszych rb. 12.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 27 Іюля 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.